25.-IV. 1931 CENA NUMERU 1 ZŁ. 50 GR. Nr. 17

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ESCORIAL — WSPANIAŁA BUDOWLA WZNIESIONA PRZEZ FILIPA II, KU CZCI ŚW. WAWRZYŃCA I JAKO WYRAZ POTĘGI WŁADCÓW HISZPAŃSKICH

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA ZGODA 12

Nowoodkryty Mazurek Chopina

NOWOODKRYTY MAZUREK CHOPINA – odnaleziony i przygotowany do wydania przez świetną i znaną pianistkę p. Marję Mirską, wzbudził wielkie zainteresowanie nietylko w kraju ale i zagranicą.

Jesteśmy w posiadaniu listów wybitnych muzykologów zagranicznych, dziękujących za przesłanie »Mazurka« i wyrażających swoje uznanie dla wydania. Między innemi prezes Tow. im. Fryderyka Chopina w Paryżu, Edouard Ganche pisze: »Wydanie Mazurka jest bardzo piękne. To jest ładna pamiątka. Dziękuję tysiąckrotnie za ofiarowanie mi jej« i t. d. Najwybitniejszy w Niemczech »Chopenista«, dr. Hugo Leichtentritt, po wyrażeniu swego podziękowania pisze: »Chętnie napisałbym przy okazji artykuł o bardzo ładnym i charakterystycznym utworze« i t. d. Prof. Ludwik Bronarski pisze z Genewy, gdzie ostatnio opublikował rozprawę o rękopisach Chopina: »Z pietyzmem wydany i w pięknej szacie pojawiający się Mazurek sprawi z pewnością wszystkim wielbicielom Chopina równie wielką przyjemność, jaką mnie sprawił«.

MAZUREK OMAWIANY UKAZAŁ SIĘ NAKŁADEM
GEBETHNERA I WOLFFA.

Cena Zł. 3.50

WYDAWNICTWA MINISTERSTWA REFORM ROLNYCH

Instrukcja Techniczna do wykonywania robót mierniczych, związanych z przebudową ustroju rolnego na obszarze województw: Białostockiego, Kieleckiego, Nowogrodzkiego, Poleskiego, Warszawskiego, Wołyńskiego oraz na obszarze okręgu administracyjnego Wileńskiego . . . . . zł. 20.—

WYKRESY:

1) Postępowanie przy scalaniu gruntów na ziemiach Rzeczypospolitej. . . . . zł. 1.—
2) Przebieg akcji znoszenia służebności w drodze umowy. . . . . zł. 1.—
3) Przebieg akcji znoszenia służebności w drodze przymusowej . . . . . zł. 1.—
4) Postępowanie przy parcelacji przeprowadzanej przez właścicieli dóbr parcelowanych . . . . . zł. 1.—
5) Postępowanie przy parcelacji przeprowadzanej przez instytucje do parcelacji upoważnione . . . . . zł. 1.—
6) Akcja uzupełniania gospodarstw karłowatych, w związku z postępowaniem scaleniowem . . . . . zł. 1.—

SKŁAD GŁÓWNY
KSIĘGARNIE GEBETHNERA I WOLFFA

BYDGOSZCZ, GDAŃSK, KATOWICE, KRAKÓW, LWÓW, POZNAŃ
WŁĄCZONE W OBRĘB WIELKIEJ WARSZAWY
CZAS DOJAZDU OKOŁO DWÓCH GODZIN
DOSKONAŁE DROGI
INFORMACJE: TEL. 547-60
LUB WIĘKSZE BIURA PODRÓŻY

MĘSKIE KRAWIECTWO

BOGUSŁAW HERSE

NA ZAMÓWIENIE

GARNITURY Z PIĘKNYCH KAMGARNÓW I SZEWIOTÓW BIELSKICH / NOWOŚCI WIOSENNE / NA PIERWSZORZĘDNYCH PODSZEWKACH zł. 375

GARNITURY Z ANGIELSKICH MATERJAŁÓW „SPORTEX" I INNYCH, NA ANGIELSKICH PODSZEWKACH zł. 500

GOTOWE

PŁASZCZE TRENCHCOAT zł 95.

GABARDINOWE zł 145.

MODNE PALTA PRZERABIANE zł 250. Z PIĘKNYCH BIELSKICH MATERJAŁÓW

Wszystkie utwory oryginalne i przekłady

BOYA-ŻELEŃSKIEGO

wysyła bezpośrednio bez kosztów przesyłki

„BIBLJOTEKA BOYA"

WARSZAWA, SMOLNA 11, TEL. 230-31

TAMŻE PRENUMERATA

ARCYDZIEŁ LITERATURY FRANCUSKIEJ

NA DOGODNYCH WARUNKACH

SZCZEGÓŁOWE PROSPEKTY

WYSYŁA SIĘ BEZPŁATNIE



BEMBERG

UWAŻAJCIE NA ORYGINALNY STEMPEL: NAZWĘ FIRMY I ZNAK ORŁA

CHLUBĄ POLSKIEGO PRZEMYSŁU POŃCZOSZNICZEGO

JEST ELEGANCKA, WSPANIAŁA, PRAKTYCZNA, A PRECYZYJNIE WYKONANA

POŃCZOCHA „BEMBERG"

WYSTRZEGAĆ SIĘ LICZNYCH FALSYFIKATÓW!

Panflavin
w PASTYLKACH
dla ochrony przed zapaleniem gardła i zaziębieniem.
Do nabycia w aptekach.



Nawet dżentelmen nie jest zabezpieczony od przeziębienia o ile nie zażyje natychmiast jednej do dwóch tabletek

Aspirin

aby odzyskać znowu doskonały stan zdrowia.
Żądać tabletek Aspirin w oryginalnem opakowaniu z czerwoną opaską ze znakiem „Bayer".
Cena:
6 szt. zł. 1.10 — 20 szt. zł. 2.75.
Do nabycia w aptekach.

BAYER

SKŁAD FORTEPIANÓW



EBETHNER i S-KA

WARSZAWA
KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 17

LETNIE WYCIECZKI MORSKIE

W bieżącym sezonie letnim odbędą się następujące wycieczki transatlantyckim okrętem „POLONIA":

po Morzu Bałtyckiem — od 1 do 10 czerwca.
Bilety od 325 zł.
Trasa — Ryga, Tallin, Helsingfors, Stockholm, Visby.

na Fiordy Norwegji — od 18 lipca do 2 sierpnia.
Bilety od 500 zł.
Trasa — Kopenhaga, Bergen, Sognefiord, Moldefiord, Nordkap, Trondheim.

po Morzu Północnem — od 6 do 17 sierpnia.
Bilety od 375 zł.
Trasa — Kopenhaga, Londyn, Rotterdam, Kanał Kiloński.

po Atlantyku — transatl. okrętem „KOŚCIUSZKO" — od 29 lipca do 26 sierpnia.
Trasa — Gdynia, Halifax, New-York, Niagara.
Bilety od 1975 zł.

3 wycieczki do Kopenhagi — transatl. okrętami „KOŚCIUSZKO" i „PUŁASKI". Bilety od 150 zł. Odjazd 20 maja, 24 czerwca i 16 września.

Informacje i sprzedaż biletów w biurze LINJI GDYNIA—AMERYKA w Warszawie ul. Marszałkowska 116, w oddziałach prowincjonalnych, oraz w biurach „WAGONS-LITS COOK", „ORBIS", FRANCOPOL" i „POLTUR".

Paszporty i wizy zagraniczne, z wyjątkiem do Stanów Zjednoczonych A. P., **zbędne.**



INFORMACJE przez wszystkie biura podróży, przez T-wo „Unitas" Warszawa, Miodowa 10, oraz przez Zarząd UZDROWISKA KARLSBAD.

Naturalną wodę mineralną oraz naturalną sól źródlaną wysyła Karlsbader Mineralwasserversendung Löbel Schottländer G. m. b. H. Karlsbad.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Nr. 17 OGÓLNEGO ZBIORU 3,724 25 KWIETNIA 1931

REWOLUCJA W HISZPANJI



Fot. Pacific-Atlantic

Z nieopisanym zapałem przyjęła ludność Madrytu akt rezygnacji Alfonsa XIII i ogłoszenie republiki, z obnażonemi głowami witając nowy sztandar

REPUBLIKA HISZPAŃSKA

Obfite wiadomości z Hiszpanji nie są natyle dokładne, by można sobie już odtworzyć właściwy stan rzeczy w kraju, do niedawna monarchistycznym i dyktatorskim, dziś rewolucyjnym i pośpiesznie budującym nowy ustrój. O ten obraz sytuacji w Hiszpanji będzie u nas zresztą dziś trudno. Skazani jesteśmy na wiadomości z drugiej ręki i pozbawieni polskiego ujęcia zachodzących na półwyspie wypadków. Nie mamy specjalistów do spraw hiszpańskich, nigdy nie interesowaliśmy się bardziej Hiszpanją. Nic też dziwnego, że odrazu pojawił się w naszej prasie, z racji Hiszpanji, nieśmiertelny słoń... a sprawa polska. Wygląda to mniej więcej tak: Primo de Rivera był dyktatorem, król go popierał, zawiesili wolności konstytucyjne, naród się zbuntował i rewolucja gotowa. Sytuacja pełna analogij. Wprawdzie u nas niema dyktatora, ale prawie że jest. Konstytucja nasza działa, sejm też, zato wybory były takie, jakie chciał urządzić Alfons z Berenguerem. Oni chcieli i nie udało się, tron się zwalił. Nasza dyktatura przeprowadziła „polskie wybory" i — tron się nie zwalił, raz dlatego, że go niema, powtóre że wszystkie te quasi-analogje nie mają żadnego gruntu. Dyktatura Primo de Rivery przyśpieszyła wybuch rewolucji, powstała zaś poto, by odwrócić grożące monarchji niebezpieczeństwo. Nie odwróciła, było za późno, nie umiała powstrzymać sił, napierających na osłabiony organizm władzy królewskiej. Jeżeli można mówić o jakiejś analogji, to chyba o tej jednej: o powodzeniu przewrotu zdecydowała armja. Przywódcy ruchu rewolucyjnego z Zamorą na czele siedzieli spokojnie w więzieniu madryckiem, pewni zwycięstwa, odwiedzani przez wysokich oficerów, którym dawali odpowiednie instrukcje; liczyli na takie czy inne garnizony, liczyli zresztą na wszystkie garnizony Hiszpanji. Gdyby zapalczywy kapitan Galan nie poderwał przedwcześnie, w grudniu ub. r., swoich żołnierzy w Jaca, przewrót dokonałby się zapewne wcześniej. Młody rewolucjonista przypłacił życiem swój poryw, być może jednak, że zaoszczędził wiele krwi. Wybuch rewolucji w grudniu miałby zapewne inny wygląd niż teraz, gdy wyniki wyborów municypalnych przekonały króla o beznadziejności wszelkiego oporu. Nie należy odmawiać pewnej zasługi Alfonsowi XIII; tkwi ona w jego mądrej inicjatywie ustąpienia z terenu rewolucyjnego. Żaden król nie czuje się dobrze w takiej sytuacji, nie każdy jednak monarcha umie w porę zejść ze sceny na widownię. Alfons XIII usunął się dość daleko, zostawiając narodowi manifest tymczasowy i zapowiadając gotowość dalszej służby dla ojczyzny. Manifest ten jest dokumentem charakterystycznym, dla oceny wypadków bardzo ważnym i ze względów psychologicznych i politycznych. Jest krótki i nie znuży czytelnika, a przytoczyć go można i dlatego jeszcze, że, jak się zdaje, w prasie naszej ukazał się tylko w wyjątkach. Pisze tedy król wszystkich Hiszpanów:

„Wybory, które się odbyły w niedzielę, przekonywają mnie jasno, że straciłem dzisiaj miłość mojego ludu. Moje sumienie mówi mi, że niełaska ta nie będzie ostateczna, ponieważ zawsze działałem z chęcią służenia Hiszpanji; jedynym moim celem w najcięższych nawet okolicznościach było dobro publiczne.

Król może się mylić, niewątpliwie też sam błądziłem niekiedy, ale wiem dobrze, że ojczyzna nasza była zawsze szlachetną wobec błędów, popełnionych bez złej woli.

Jestem królem wszystkich Hiszpanów i sam jestem Hiszpanem. Mógłbym był zastosować różne środki dla utrzymania prerogatyw królewskich i skutecznie zwalczać moich przeciwników, chcę jednak zdecydowanie wyłączyć się od tego wszystkiego, co mogłoby pchnąć moich współrodaków do bratobójczej wojny domowej.

Nie rezygnuję z żadnego z moich praw, gdyż są one więcej, niż mojemi prawami, są zasobem, nagromadzonym przez dzieje, z którego będę musiał kiedyś zdać ścisły rachunek.

Oczekiwać będę prawdziwego wypowiedzenia się woli zbiorowej, w międzyczasie zaś zanim naród przemówi, zawieszam umyślnie sprawowanie władzy królewskiej i oddalam się z Hiszpanji, uznając w ten sposób, że jest ona jedyną panią swoich przeznaczeń.

Wierzę, że dziś także spełniam obowiązek, który mi dyktuje miłość ojczyzny. Proszę Boga, aby i inni Hiszpanie pojęli swój obowiązek równie jak ja głęboko".

Manifest ten uderza swoją prostotą. Niewątpliwie jednak jest zredagowany zręcznie i nie należy upierać się, że nie będzie on miał jakiegoś wpływu choćby w dość odległej przyszłości. Król nie schlebia Hiszpanom, ale odwołując się do „samookreślenia" Hiszpanji, działa z pewnością na tradycyjną dumę i ambicję, nie mówiąc już o tem, że bądź co bądź rzuca zarzewie nieporozumień między monarchistów a nowy, rewolucyjny żywioł. Czyż zresztą w r. 1868 Madryt nie widział już entuzjazmu rewolucyjnych tłumów, a potem powitania nowych władców?

Rewolucyjny rząd Zamory nie widzi coprawda w manifeście królewskim żadnego niebezpieczeństwa. Jest pewny swej siły, skoro pozwolił na ogłoszenie publiczne dokumentu „Alfonsa de Bourbon" i powstrzymał się od uzupełnienia go jakimkolwiek komentarzem. „Rząd uważa za rzecz właściwszą i wystarczającą, by w chwili obecnej kraj swobodnie osądził odezwę, wolną od wszelkiej oceny ministerjalnej".

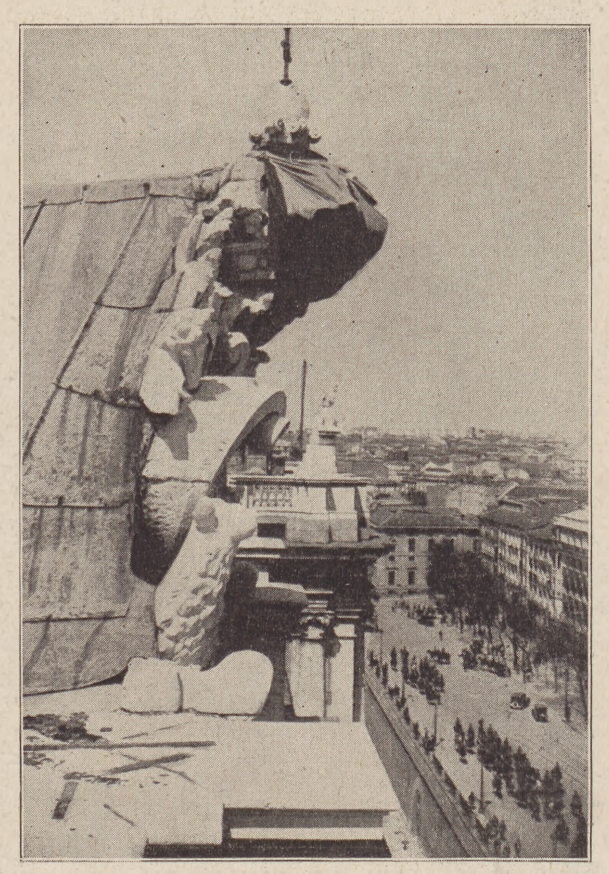
*

Alcala Zamora, prezydent republiki hiszpańskiej i prezes rady ministrów, jest byłym monarchistą, potem przywódcą prawicy republikańskiej. Jest jednak nadal przedewszystkiem znakomitym prawnikiem a ta zaleta zwiększa niepomiernie jego znaczenie jako szefa państwa. Rewolucja wypowiada się w dekretach, działa pośpiesznie, w gorączce nowego tworzenia. Dla prawnika tem trudniejsza ale i tem odpowiedzialniejsza rola państwowa.

Otacza Zamorę poczet ministrów, pod względem partyjnej przynależności dość różnorodny: socjaliści, radykalni socjaliści, konserwatyści, umiarkowani republikanie — słowem gabinet jedności rewolucyjnej, lub jeżeli kto woli analogję, pierwszy rewolucyjny rząd rosyjski z ks. Lwowem, Kiereńskim, Milukowem i Ceretellim.

Nie można się łudzić, że analogja na tem się kończy. Dopóki zadaniem rządu jest umocnienie zdobytych okopów obalonej monarchji, utrwalenie „zdobyczy rewolucji", dopóty trwać będzie jedność rządu. Może ona przecież ulec wahaniom i komplikacjom, gdy po pierwszych reformach politycznych przyjdzie kolej na zmiany stosunków społecznych. Już dziś podobno minister skarbu Prieto, socjalista, zapowiada, że sąsiedztwo socjalistów z przedstawicielami burżuazji, w rządzie, jest tylko tymczasowe, nakazane względami ogólno-państwowemi. Oto więc pierwsza trudność niezwykle ważna, która lada dzień stać się może ciężką próbą dla młodej republiki.

Jedna taka próba już istnieje w postaci Ka-

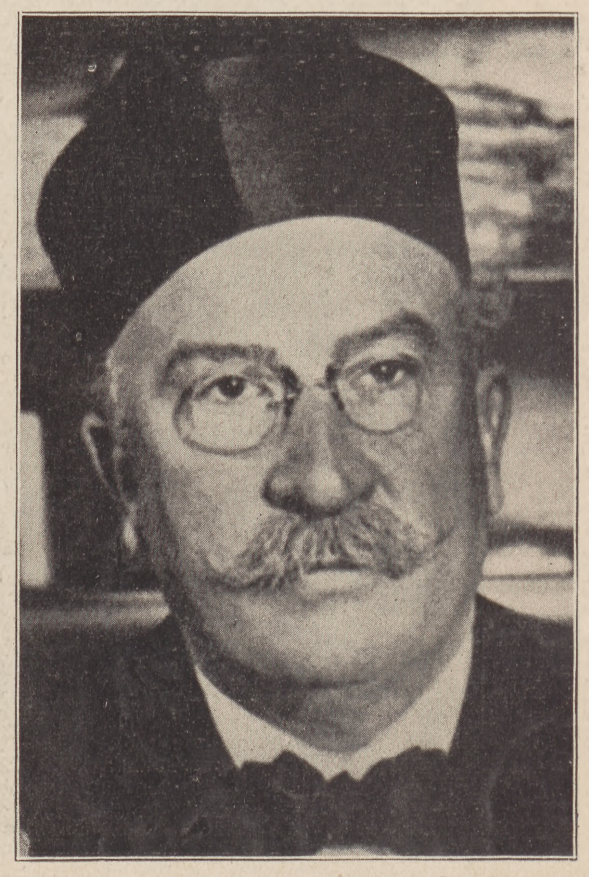


Fot. Pacific-Atlantic

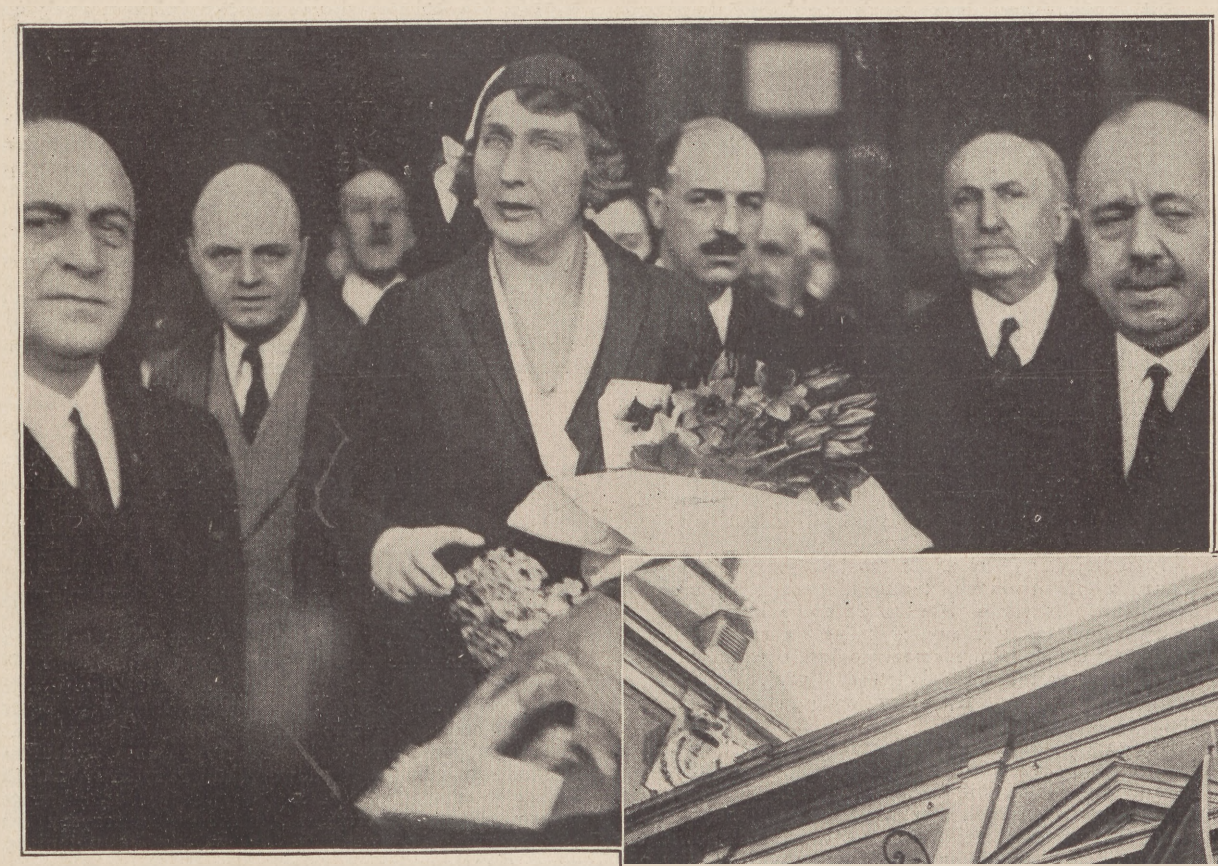
Korona królewska na szczycie pałacu Alfonsa XIII zakryta została sztandarem republikańskim



Alcala Zamora,
prezydent Republiki Hiszpańskiej i premjer



Aleksander Lerroux,
minister spraw zagranicznych



Królowa hiszpańska po przyjeździe do Paryża. Z lewej prefekt Paryża Chiappe, z prawej ambasador Quinones de Leon

talonji. Nie odrywając się od Hiszpanji, prowincja ta ogłosiła swoją niezależność, rozstrzygając w ten sposób odwieczny swój spór z Madrytem. Bezgraniczne oddanie Katalończyków dla pułk. Macia i energja oraz umiejętność polityczna tego męża stanu dają gwarancję, że między obu republikami nastąpi pomyślne ułożenie wzajemnych stosunków, że mianowicie dokona się akt federacji, która może oddziałać płodnie na całokształt spraw półwyspu Iberyjskiego.

Czyż nie odezwały się już głosy na temat wytworzenia bliższych związków między Hiszpanją a Portugalją? Wymowny jest też entuzjazm republik południowo-amerykańskich dla nowego porządku rzeczy w Hiszpanji. Pozbawiona potęgi wojskowej, osłabiona i jakby poza wielkiem życiem międzynarodowej polityki zadrzemana, Hiszpanja — śni przecież zawsze wielki swój sen o nowej jedności rasy hiszpańsko-iberyjskiej. Czy rewolucja, niosąc jak wiosna, nadzieje lepszego życia, ześle Hiszpanji ludzi, którzy jak Karol V i Filip II, ale w imię przyjaźni i braterstwa dokonają zbożnego dzieła — oto zagadnienie już z zakresu dalszych idej, rodzących się wśród radości tłumów Madrytu.

A narazie przed narodem hiszpańskim rozpoczęła się żmudna praca usuwania tysiącznych przeszkód, już piętrzących się na drodze odbudowy. Wszystko tam jest do zrobienia: zwołanie konstytuanty, walka z wybujałym decentralizmem, problemy kolonjalne, reorganizacja armji, odzyskanie prestiżu międzynarodowego. Nawet katolicyzm hiszpański przejdzie przez kryzys, tak naturalny w państwie, gdzie religja i monarchja stanowiły nierozerwalną, zdawało się, jedność.

Komunizm wreszcie, czyhający na żer, już czujny, już zorganizowany i gotowy do objęcia władzy w chwili, gdy nowy rząd okaże najmniejszą słabość, a armja nie wyrzeknie się, dziś już niebezpieczniejszej niż za króla, polityki klubów i junt oficerskich.

Nie inaczej jednak, jak w ciężkim mozole, w ofiarności obywateli, w zwalczaniu przeszkód rodzi się państwo wolności. Nie inaczej, jak przez silną władzę, świadomą swoich celów, zdolną do opanowania zawsze sprzecznych interesów partyj.

Wszystko w Hiszpanji jest inne, niż gdzie indziej i niż u nas. Nie naciągajmy więc analogij, bo są one chyba tylko pozorne i zewnętrzne. Wystarczy, gdy narodowi, który wyzwala się z własnej niedoli i dąży do nowego życia, złożymy życzenia pełnego zwycięstwa. Będzie ono powszechnem dobrem ludzkości.

St. R.



Sztandar republikański zawisł na balkonie pałacu królewskiego Fot. Pacific-Atlantic



Indalcio Prieto, rewolucjonista i emigrant, opuścił Paryż, by udać się do Madrytu i objąć tekę ministra skarbu republiki. Na zdjęciu Prieto oparty o pręt autobusu

Fot. S. Londyński



Ex-król Hiszpanji, Alfons XIII przybył do Paryża, witany z serdeczną kurtuazją przez wielotysięczne tłumy oraz ambasadora swojego i oddanego przyjaciela Quinones'a de Leon

IDEE I ZDARZENIA

POD UROKIEM GENJUSZU

Ostatni zeszyt *Muzyki (Nr. 3)* przynosi bardzo ciekawy artykuł - wspomnienie *Roberta Perutza* p. t. *„Wrażenia z koncertu Paderewskiego w Ameryce"*. Słyszymy ciągle o tych nieprawdopodobnych triumfach, jakie nasz znakomity rodak odnosi podczas swych objazdów koncertowych w Ameryce, ale niebardzo zdajemy sobie sprawę z sugestji i znaczenia tych tournées. Dlatego z takiem zainteresowaniem czyta się te słowa naocznego świadka takiego koncertu mistrza, gdzieś na dalekiej amerykańskiej prowincji.

„Małe, 60-tysiączne miasto — pisze autor — w Stanie West Virginii. „Auditorium", sala koncertowa, nie stojąca w żadnym stosunku do liczby mieszkańców (mieści 4 tysiące słuchaczy), oraz estrada, którą też trzeba było wykorzystać — przepełnione. Wzdłuż estrady olbrzymia, niebiesko-aksamitna zasłona. Przed fortepianem mały, czerwonym pluszem obity fotel, od lat wierny towarzysz Mistrza. Cztery lampy łukowe rzucają na salę olbrzymie snopy jaskrawego światła, wentylator, umieszczony u stropu, hałasuje zapamiętale. Z trudem przeciskam się przez rzędy krzeseł, by nareszcie odnaleźć swe miejsce. Sąsiad mój z prawej strony, typowy amerykański farmer, żując zawzięcie gumę, odrazu zwierza mi się ze swych kłopotów: jechał swoim Fordem 80 mil na godzinę, miał po drodze awantury z motorem, ledwo zdążył na czas, gotów mieć nieprzyjemności w drodze powrotnej, a musi zdążyć na rano do domu... Sąsiadka moja z lewej strony, jakaś starsza jejmość w okularach, nabożnie wpatrzona w estradę, informuje mnie, że jest nauczycielką fortepianu, że czasy ciężkie, wszystko jest opętane radjomanją, uczni mało. Wiadomo: w oczekiwaniu chwil radosnych zawsze jesteśmy skłonni do wszelakich zwierzeń.

W pewnej chwili pęd wentylatora zaczyna słabnąć, by wkońcu umilknąć na dobre. Równocześnie lampy gasną, na sali i na estradzie panuje tajemniczy półmrok. Robi się cisza nagle — owa cisza niesamowita, poprzedzająca doniosłe zdarzenie. Farmer wyjmuje gumę z ust i przylepia ją do poręczy swego krzesła. Jest nauczony od dziecka, że podczas nabożeństwa żuć nie wypada. Chwila napiętego oczekiwania... cisza wprost złowieszcza...

Niebieska zasłona rozsuwa się. Cztery tysiące ludzi, kierowanych jakąś niewidzialną siłą, zrywa się ze swoich miejsc. Stojąc nieruchomo, wpatrują się oni w Mistrza, pełni dziwnego skupienia, jakby zaczarowani. Cisza — wtem nieśmiałe, jakby wstydliwe oklaski, które rosną i potężnieją, nabierają coraz większego rozmachu, by wkońcu rozpętać się w ogłuszający huragan. Paderewski stoi chwilę wyprostowany, potem schyla się głęboko. Wolnym krokiem z podniesioną głową zbliża się do fortepianu. Publiczność szaleje. Znów ukłon głęboki. Nagle wściekła ekstaza ogarnia tłumy. Tupanie tysięcy nóg, ogłuszają oklaski łączą się w iście piekielny hałas. Paderewski staje wreszcie przed fortepianem. Jeszcze jeden, ostatni ukłon. Publiczność siada równocześnie z mistrzem. Znów chwila skupionej ciszy. Paderewski podnosi wysoko ręce, trzymając je chwilę w powietrzu — rzekłbyś, błogosławi klawiaturę..."

TRZEBA SIĘ REKLAMOWAĆ

Na czele ostatniego zeszytu *Prasy (Nr. 3)*, poświęconego sprawom ogłoszeń i reklamy, znajduje się ciekawy artykuł *Franciszka Głowińskiego* p. t. *„Prasa, propaganda i reklama"*, w którym autor analizuje stan i poziom reklamy prasowej w Polsce, stwierdzając, iż bardzo zostaliśmy w tej dziedzinie poza zachodem. Autor omawia różne zagadnienia, które ta dziedzina nastręcza, poruszając przeważnie sprawy interesujące fachowców. Jeden jednak szczególnie punkt jest interesujący dla wszystkich, zarówno dla prowadzących działy ogłoszeniowe w pismach i ogłaszających się, jak i dla szerokiej publiczności, która codziennie styka się z prasowem ogłoszeniem, współżyje z niem i patrzy się na nie, chcąc tego, czy nie chcąc.

„Na terenie tylko większych miast Rzeczypospolitej, — pisze autor, — pomijając mniejsze, oraz nie biorąc pod uwagę filij wielkich instytucyj ogłoszeniowych — posiadamy zgórą siedemdziesiąt firm pośrednictwa ogłoszeniowego. Olbrzymia ich większość, to nie warsztaty pożytecznej pracy, lecz szkodliwi, zbędni pośrednicy, demoralizujący rynek, działający na szkodę nietylko prasy, lecz i klienteli ogłoszeniowej. Dzika walka konkurencyjna na rabaty i warunki płatności, niesumienność w rozrachunkach, najgorszego gatunku kombinatorstwo w obliczaniu objętości ogłoszeń i pomieszczenia ich w różnej wartości miejscach i działach, skierowywanie ogłoszeń nie do organów zapewniających największe dla klienta korzyści, lecz najwyższy i najłatwiejszy dla pośrednika zysk — oto „metody" pracy ogromnej większości naszych małych biur i agencyj ogłoszeniowych. Prowadzą je przeważnie ludzie o niskim poziomie intelektualnym, bez żadnych, lub bez dostatecznych kwalifikacyj fachowych. To daje odpowiedni poziom fachowy ich pracy. Stąd pochodzi ta wielka w prasie polskiej ilość ogłoszeń zredagowanych w sposób wprost haniebny, lub conajmniej niestosowny i nieudolny, zaopatrzonych w rysunki i klisze, wołające o pomstę do prymitywnego bodajby poczucia estetyki. Ogłoszenia takie częstokroć nietylko nie werbują klienteli dla ogłaszającej się firmy, ale odstręczają od niej. Wszystkie zaś wady większości biur ogłoszeń w jeszcze wyższem stopniu i gorszej formie występują u znacznej części pracujących w Polsce akwizytorów ogłoszeniowych".

Wiemy wszyscy dobrze, że tak jest. Wie o tem czytelnik, wie przedewszystkiem przemysłowiec i kupiec, który się ogłasza. Ale nikt zdaje się nie wiedzieć o tem, że istnienie tego niezdrowego stanu rzeczy jest dowodem tylko bierności ogółu. Bowiem poziom ogłoszeń i reklamy prasowej zawsze będzie taki, jakiego sobie będzie życzył klient. Naturalnie klient uświadomiony i interesujący się zagadnieniem reklamy, jako ważnego czynnika handlowego.

WIELKA TAJEMNICA ZNISZCZENIA

Argumenty pacyfistów znamy już napamięć. Co więcej — każdy z tych argumentów wypisany jest trwałemi zgłoskami w naszych sercach. Rozbrajajmy się! czyż może być hasło bardziej miłe dla 99% żyjących na świecie ludzi?

Z drugiej strony aż nadto często słyszymy o zbrojeniach, o pancernikach, tankach, gazach i bojowych aeroplanach. Wydaje się nam, że nowy kataklizm wojenny będzie tak straszny, iż zmiecie z ziemi ludzkość w ciągu paru godzin, niemożliwe jest bowiem, aby ten huragan zniszczenia mógł trwać dłużej. Wygląda to wszystko jak koszmar, który wyłącza możność rozsądnego myślenia.

Nie są to jednak niestety frazesy i przesadnie, mające na celu rozagitowanie wśród społeczeństw idei obrony narodowej. Nie potrzeba uciekać się do opisów nawpół powieściowych o wynalazkach wojennych, które są trzymane w tajemnicy — dość zastanowić się tylko nad temi, które są naogół znane światu, aby nabrać wyobrażenia o przyszłości, jaka nas czeka na wypadek wybuchu wojny.

Ostatnio *Illustrowany Kurjer Codzienny (Nr. 100)*, w artykule p. t. *Świat przed wielkim egzaminem i wobec widma potwornej katastrofy* podaje według pism zagranicznych sporo ciekawych informacyj. „Już pod koniec wojny — czytamy — amerykański profesor chemji organicznej, Levis, odkrył był gaz żrący znacznie silniejszy, niż słynny niemiecki gaz „żółty". Gazem tym, nazwanym „Lewizytem", wojenny przemysł amerykański już był ponapełniał bomby, które byłyby pewnego dnia spadły na armję i miasta niemieckie, gdyby jeszcze przedtem pobity Ludendorff, nie był nagląco zażądał zawieszenia broni. Dzisiaj ten straszliwy gaz amerykański jest już dawno zdystansowany przez swoje młodsze i bez porównania okrutniejsze rodzeństwo. Dyrektor londyńskiego instytutu fizjologicznego, Leonard Hill, wykrył np. nową masową truciznę, którą produkuje jakiś w tajemnicy trzymany bakcyl, a która daje się stosować wygodnie w postaci proszku. Jeden gram tego proszku, więc niecała łyżeczka od herbaty, wystarczy do wytrucia kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Miasto posypane z góry takim proszkiem, musiałoby wymrzeć w najkrótszym czasie. Inny znów Anglik, inżynier Ney, wynalazł gaz trujący o sile tak wielkiej, że rozcieńczony w stosunku jeden do dziesięciu miljonów, jeszcze całkiem pewnie zabija życie organiczne. Pięćset bomb, napełnionych takim gazem, które dwa bojowe aeroplany współczesne mogą wygodnie i szybko przewieźć na miejsce przeznaczenia, wystarczyłoby do wytrucia miasta wielkości Paryża".

Nigdy chyba przyszłość ludzkości nie rysowała się tak straszliwie, jak w chwili obecnej. Jeżeli nawet były takie momenty, jak pochód Hunnów przez Europę, klęska zarazy w średniowieczu czy wreszcie pochód Tatarów na Zachód, to nie były one nigdy wytworem inteligencji. Nastały czasy, w których wartości duchowe muszą spotężnieć i wzmóc się na znaczeniu; tylko one bowiem mogą przeciwstawić się skutecznie idącej z mroków tajemnic zagładzie. Środki materjalne przekroczyły już granice, w których możnaby je dość skutecznie zwalczać.

„ORFEUSZ W PIEKLE" NA STOLE HELENISTY

Trzy pierwsze zeszyty tegorocznego *Pamiętnika Warszawskiego* skupiają uwagę czytelnika przedewszystkiem na drukowanym tam nowym utworze znakomitego prozaika *Wacława Berenta*, którego *Wywłaszczenie muz* zelektryzowało świat czytelniczy tembardziej, że od tylu już lat nie otrzymywaliśmy nic nowego z rąk świetnego autora „Żywych kamieni".

Z innych zaś działów szczególnie interesujący jest artykuł naszego znakomitego helenisty, *Tadeusza Zielińskiego*, który w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Offenbacha napisał ciekawą rozprawę p. t. *Prawo do parodji.*

Profesor Zieliński analizuje subtelnie stosunek do sztuki u różnych ras i narodów i przychodzi do przekonania, że prawo do parodji mają te narody, które tak ukochały sztukę, iż przez parodję nie zabijają samej sztuki. „Ta sama Hellada — pisze Zieliński — co stworzyła sztukę, stworzyła także i parodję sztuki. Ten drugi fakt nie jest tak powszechnie znany, jak ów pierwszy, jest jednak niemniej niewątpliwy. Ten sam teatr Dionizosa w Atenach stał się siedzibą i sztuki dramatycznej i jej parodji. Dziś widzowie z drżeniem serca patrzyli na katusze przedśmiertne Heraklesa, oczyściciela ziemi i przyjaciela ludzkości — jutro ten sam Herakles zjawi się przed nimi w dziwacznym kostjumie komedji, a oni będą się śmiali do rozpuku, widząc, jak bohater swoim nieposkromionym apetytem doprowadza do rozpaczy karczmarkę, gdy pożera sery razem z koszami i naturalnie nie płaci za nie ani grosza".

I oto wziąwszy sobie za punkt wyjścia Offenbacha i jego „Orfeusza w piekle", jako parodję klasycznego mitu, z nieporównanym wdziękiem snuje profesor Zieliński na różnych przykładach i zdarzeniach swoją myśl przewodnią, którą tak formułuje nakoniec: „Mało kocha sztukę ten, kto gotów jest odrzucić ten lub inny jej gatunek gwoli parodji. Niewiele więcej kocha ją ten, kto przeciwnie, ze strachu, że może postradać tę swoją miłość, wypędza parodję. Prawdziwy przyjaciel sztuki — to ten, kto w jednakowym stopniu, chociaż nie jednocześnie, rozkoszuje się i parodjowanym przedmiotem sztuki, i parodją, ceniąc jedno i drugie w zależności od jego wartości artystycznej".

EMERYTURY

Tak zwani emeryci państw zaborczych otrzymują 75% świadczeń, jakie przyznano dla emerytów w służbie polskiej. Tę 25-procentową różnicę odczuwają dziś emeryci „zaborczy" tem dotkliwiej, że wokoło siebie widzą groźnie rozrosłą rzeszę pełnoprawnych, stuprocentowych, choć służbowo niepełnoletnich emerytów. Nic dziwnego, że skarżą się i to nawet nie w pismach opozycyjnych. Czytamy bowiem w *Czasie* (Nr. 88): „Z zestawienia cyfr, w jakich w ciągu kilku ostatnich lat wzrastała ilość nowych emerytur (w r. 1926: 9.247 cywilnych i 1.216 wojskowych, w r. 1930: 19.892 cywilnych i 6.906 wojskowych) wynika, że przyrost w ciągu 4 lat wyniósł przeszło 150 procent, nie znajdując w ubytku przez śmierć lub reaktywowanie w służbie stosunkowo silnego równoważnika. Przyczyny należy szukać w anomalji, która się nazywa popularnie „mnożeniem młodych emerytów", a której towarzyszy ten dziwny objaw, że wszyscy bez wyjątku ją potępiają, mimo tego trwa wciąż dalej!

Ten moment nie może być żadną miarą wyeliminowany z dyskusji, która zastanawia się nad oszczędnościami. Jest on także wart uwagi jako anormalny przejaw społeczny. Gdy dawniej towarz.-społ. grupę emerytów stanowili ludzie starzy, wysłużeni i zasłużeni, syci pracy, uhonorowani i spokojni o resztę lat życia, dziś wałęsają się po świecie całe rzesze ludzi młodych lub niestarych (są i „curiosa" poniżej lat 30), których przez nagłe i przed nikim nie wytłumaczone spensjonowanie wytrącono z kolei życia. Mnożą oni zastępy bezrobotnych i niezadowolonych i ciążą bezproduktywnie na budżecie państwowym. Przez szereg lat tego nienaturalnego pensjonowania ludzi zdatnych do pracy świadczenia z budżetu emerytur państwowych urosły do takiej wysokości, że nie może on dziś znieść tych wszystkich ciężarów". W tych warunkach nawet tak bolesna operacja, jak zniżka pensyj urzędniczych, wydaje się ofiarą daremną.

POD ZNAKIEM OSŁA I HIENY

Za ogłoszenia przeważnie redakcje pism nie odpowiadają. Nie jest to jednak zawsze wystarczająca osłona dla rzeczy, których nietylko w piśmie, ale wogóle gdziekolwiek nie powinniśmy czytywać. Oto kilka ogłoszeń drobnych, wyłowionych przez krakowski *Naprzód (Nr. 85)* z jednego numeru wielkiego pewnego dziennika. Przytaczamy tu tylko kilka najbardziej charakterystycznych:

1) Uniwersytet Politechn. w Paryżu, 20-ty rok. Stud. Inż. (2-let.). In Absentia (Korespon.). Wydz. Samochod. Lotn. Elektr. Żel.-Bet. Ogrz.-Centr. Stud. w jęz. franc. i niem., możl. skróc. studj. dla kandyd. posiad. wiad. specj. Regl. i progr. Sekret. General. dept...

2) Artystą(tką) teatralnym lub rewjowym może zostać każdy(a) bez względu na miejsce zamieszkania dzięki korespondencyjnym kursom teatralno-rewjowym. Bezpłatny prospekt wysyła „Teatr i Rewja", Warszawa, skrz. poczt...

3) Niebieskooka szatynka, twarzy wenecjanki i blondynka cudnego profilu poznają wytwornych bogatych panów. — Zgłoszenia dla „Wenecjanka" i „Blondynka"...

4) Albumy różnych aktów po 200 i 300 wzorów od zł. 6.50, serje oryginalnych „fotomoderne" od zł. 20.— Ogromny wybór dla zbieraczy rzadkości. Koszta przesyłki zł. 1.50 płaci kupujący; wysyła Wyd. „Fotocud", Warszawa, Skrz. poczt...

5) Podziękowanie! Serdecznie składam na tej drodze WPani... za wyleczenie mię z ciężkiej choroby wewnętrznej, na którą długi czas cierpiałam. Leczyłam się u wielu lekarzy, jednak polepszenia nie było. Takie boleści miałam, że przez dziewięć dni i nocy ani oka zmrużyć nie mogłam. Zawdzięczam tylko metodzie i ziołom od WPani... że w krótkim czasie przyszłam do zdrowia i sił, tak że nadal mogę pracować dla mej licznej rodziny. Każdemu ciężko choremu polecam WPanią... Królewska Huta.

6) Tajemnica fakirów. Kto chce wywołać wielkie zainteresowanie, kto chce wesoło spędzić czas i być mile widziany w towarzystwie, niech nabywa tajemnicę kurs I. Indyjski woreczek. Nikt nie wyjmie z niego pieniędzy. Cena za woreczek 3 zł. Żywe karty. Sposób, żeby karta żądana sama wyszła z talji. Cena za karty 3 zł. Wywołać śnieg w pokoju. Cena za sposób 2 zł. Wywołać węża, ziarnka tajemnic — 10 sztuk 3 zł...

7) Czy chcesz zostać detektywem? Jest to zawód, który zapewnia życie dostatnie, pełne niezwykłych przygód i wrażeń. Czy chcesz zostać detektywem? Dla samego siebie, aby nie czuć się nigdy bezradnym wobec szantażów, oszustw i morderstw. Czy chcesz zostać człowiekiem doskonałym?...

WSPOMNIENIA Z DANJI

Przy akompanjamencie suchych trzasków aparatów fotograficznych zbliżał się duński statek „Kong Haakon" do portu w Kopenhadze. Minęły niemiłe dla wielu pasażerów chwile kołysania, byliśmy po całonocnej podróży u kresu naszej wędrówki.

Pierwsze spostrzeżenie cudzoziemca, to szalona ilość rowerów, kierowanych nawet przez sędziwe matrony. Rowery te, na wystawie piękności nie uległyby premjowaniu, tak mizerny widok przedstawiają, ale Duńczykowi na estetyce niewiele zależy. Najwięcej tych wehikułów spotkać można w porze obiadowej i wieczorowej, gdy robotnicy wracają z fabryk do domów. Na skrzyżowaniu ulic, stosunkowo mało ruchliwych w przeciągu minuty naliczyłem około 70 rowerów.

Można czasem spotkać dość zabawne sceny. Któregoś dnia spotkałem rowerzystę prowadzącego na lince konia. Bardzo często widać tu psy na smyczy, biegnące obok roweru. Człowiekowi nieprzyzwyczajonemu, zdaje się czasem, że rower jest traktowany w Danji jako narodowy środek lokomocji i, że nieposiadanie tegoż jest do pewnego stopnia ujmą dla obywatela duńskiego.

Zapytana przeze mnie pewna Dunka, czy posiada rower, odpowiedziała mi z oburzeniem, iż każdy obywatel, o ile środki finansowe na to mu pozwalają, powinien posiadać rower.

Lecz nietylko rowery zwróciły, w pierwszym momencie, moją uwagę. Rzucił mi się w oczy zupełny brak szoferów prywatnych. Duńczyk, posiadający samochód nie obawia się bynajmniej pozostawić go na ulicy bez nadzoru. Można obserwować, całe sznury pustych aut, ustawionych obok siebie w oczekiwaniu swych właścicieli.

Gdy bliżej wnikniemy w życie Danji, poczujemy napewno do niej dużo sympatji i miło nam będzie częściej odwiedzać ten uroczy kraj.

Wiemy wszyscy, że Danja jest monarchją konstytucyjną i, że królem jej jest Krystjan X. Otóż Duńczycy, choć z natury demokratyczni, bardzo są przywiązani do dynastji i żywią duży sentyment dla swego monarchy. Król zamieszkuje zimą w stolicy w jednym z czterech pałaców w stylu rococo, otaczających plac Amalienborg. Straż królewska, w imponujących czapach, strzeże Jego Królewskiej Mości.

Lato spędza Krystjan X bądź w pałacu „Sorgenfri" w Lyngby, o 14 km. na północ od stolicy, bądź w zamku Marselisborg koło Aarhus, ofiarowanym mu jako podarunek urodzinowy przez naród duński. Zwiedzając Lyngby, nie dziwiłem się, że tam właśnie ucieka król duński od kłopotów monarszych i życia dworskiego. Król poświęca wtedy wiele czasu umiłowanej jeździe konnej. Wspominając o władzy zwierzchniej, należy kilka uwag poświęcić armji duńskiej.



Fragment wielkiej i niezwykle pięknej fontanny „Gefion" w Kopenhadze

Jako szary, mało znaczący turysta, nie mogłem się wtajemniczyć w tajniki życia wojskowego Danji. Refleksje, które mi się mimowoli nasunęły, są jedynie rezultatem zewnętrznych obserwacyj. Armja jest traktowana bardziej jako gwardja, a pacyfizm duński wykazuje tendencję do redukcji i rozbrojenia. W krwi Duńczyka nie spotykamy tej zapalczywości wojowniczej, która cechuje inne ludy europejskie. Lodowaty skandynawczyk woli spokojne życie, ujednostajnione, bez wstrząsów i zmian. Jak mało ponosi Duńczyków wojenny zapał, świadczy najwymowniej półwiekowy przeszło okres pokoju.

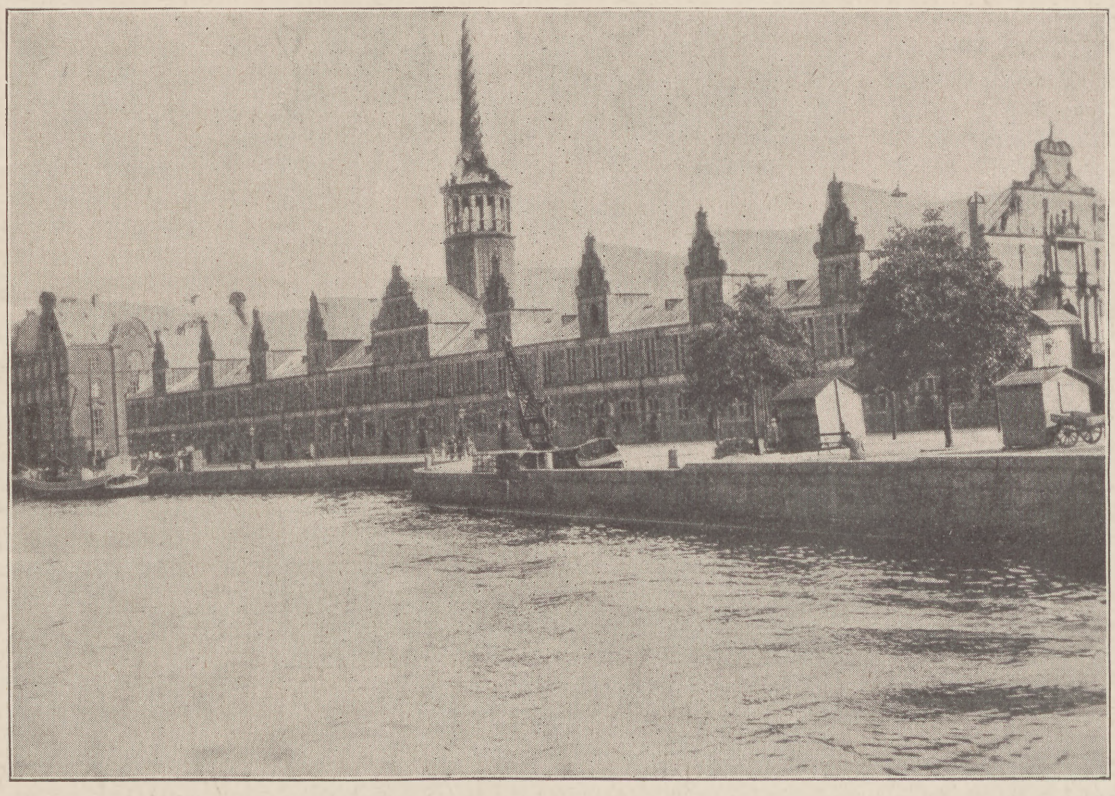
Wpływa na to nietylko psychika Duńczyka, ale również dogodne położenie geograficzne jego kraju.

Te dwa czynniki przyczyniły się w dużej mierze do rozwoju gospodarstwa narodowego. Danja, jako kraj wybitnie rolniczy, tej dziedzinie gospodarczej najbardziej hołduje. Ze względu na odpowiedni klimat i dogodne warunki lokalne rozwija się tu głównie kierunek doświadczalno - hodowlany. Sprzyja temu i rozdrobnienie gospodarstw, wahających się w granicach 20—80 ha. Większe własności spotyka się bardzo rzadko. Przemysł rolny stoi b. wysoko, a produkty jego zasilają i inne kraje europejskie.

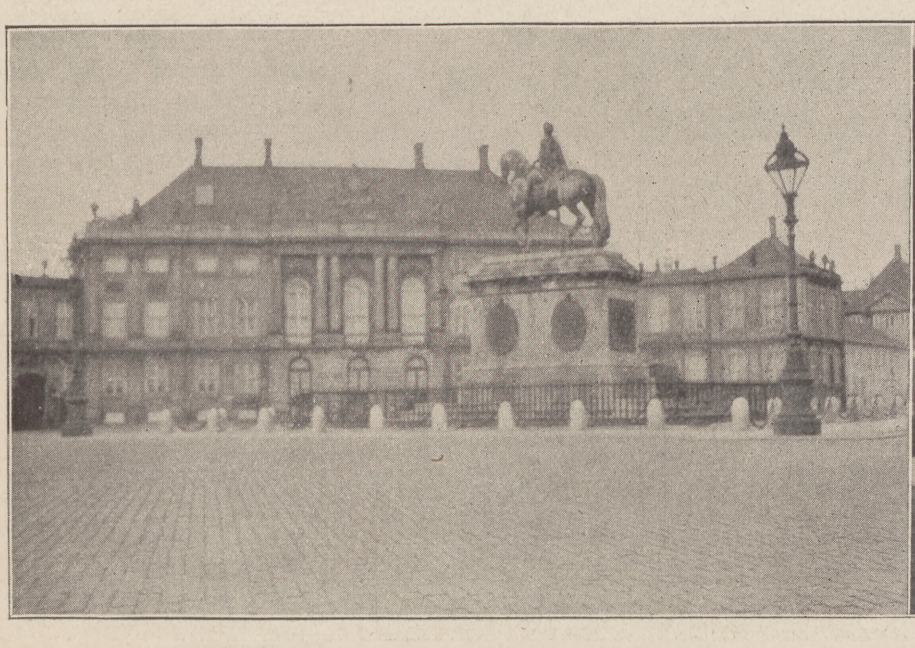
Najlepiej o tem może świadczyć fakt, że np. jedna tylko mleczarnia państwowa w Hillerod, o przerobie dziennym 20.000 kg. mleka, eksportuje 37% produkcji masła do Anglji. Podobny procent wywozu jest i w innych, tak, że pozycja ta jest bardzo wysoka i posiada duże znaczenie na rynku angielskim.

Imponujące wrażenie robi sortownia jaj w Odeusee na Fionji, będąca własnością polskiego konsula generalnego p. Nielsena. W ogromnych basenach przechowuje się w specjalnych odczynnikach 10.000.000 sztuk jaj. Roczny wywóz wynosi 230 miljonów, co stanowi 22% ogólnego eksportu duńskiego.

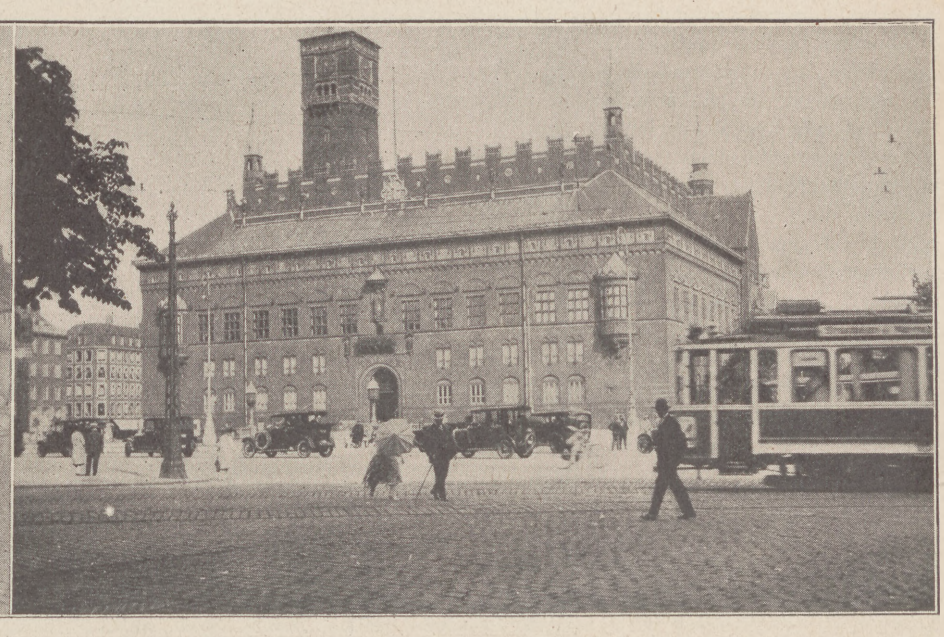
Te niebywałe ilości wymownie świadczą o wysoko postawionej hodowli kur i przemyśle jajczarskim. Naj-



Olbrzymi gmach giełdy w Kopenhadze



Kopenhaga: Zamek Amalienborg i pomnik Fryderyka

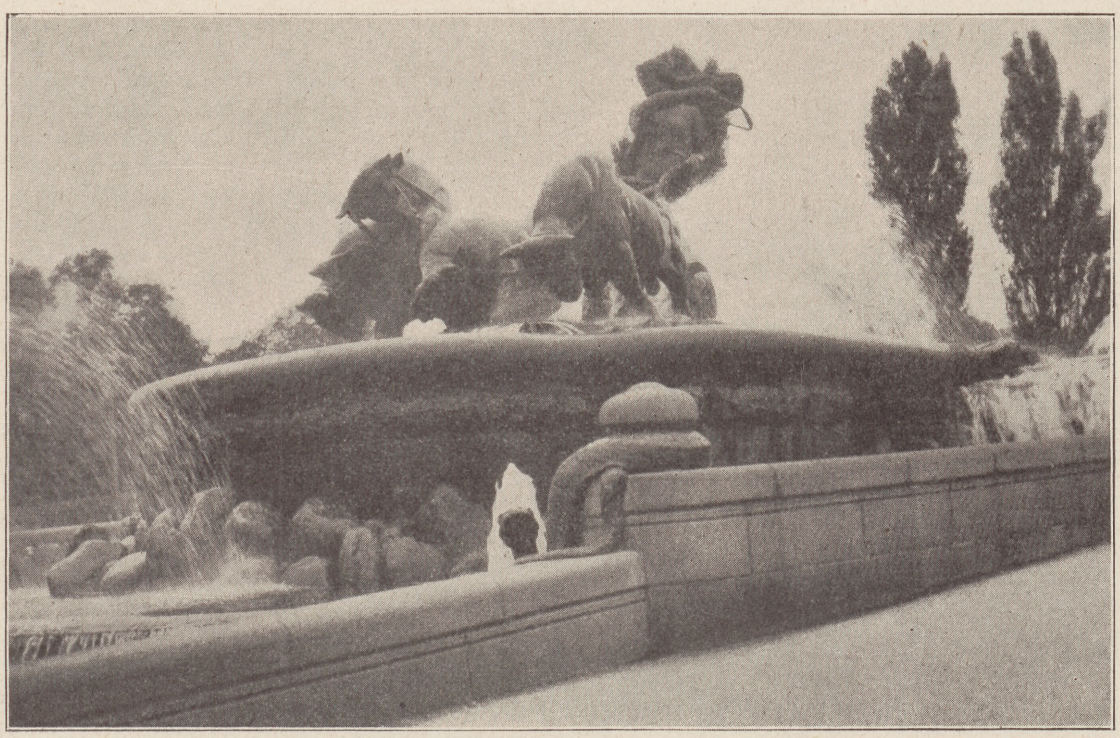


Ratusz kopenhaski

lepszym dowodem racjonalnej hodowli krów i świń była jubileuszowa wystawa rolnicza, urządzona z okazji 50-lecia powstania Zeelandzkiego Związku Organizacyj Rolniczych, w Kopenhadze w lipcu r. z.

Frekwencja była ogromna. W ciągu trwania wystawy (3—6 lipca) obliczono zwiedzających na 340 tysięcy, w tem na ostatni dzień wystawy, niedzielę 6 lipca — 140 tysięcy. Liczby te mówią nam wyraźnie, jakie zainteresowanie budzi w Danji rozwój rolnictwa. Zadziwiło mnie niezwykłe zaciekawienie kobiet duńskich wystawą i znajomość rzeczy, z jaką o sprawach rolniczych rozmawiały.

Podróżując po całej Danji, nietylko Zeelandji, ale i Fionji, a interesując się w pierwszym rzędzie rolnictwem, zetknąłem się bliżej z wsią duńską, a właściwie fermami.



Kopenhaga. Fontanna „Gefion"

Jak już zaznaczyłem, gospodarstwa rolne nie przekraczają z reguły 100 ha. Ze względu na swoisty charakter gospodarowania, wsi, w pojęciu naszem, nie spotykamy. Są to porozrzucane folwarki, skomasowane, o innej niż u nas kulturze, innych zamiłowaniach gospodarczych, oraz o dużej dozie poczynań eksperymentalnych.

Mamy więc gospodarstwo czysto hodowlane, ogrodnicze, doświadczalno-nasienne i t. p. Wszędzie panuje porządek, oszczędność, drobiazgowość i dokładność, posunięta do najwyższych granic.

W czasie jednej z wycieczek, wyjeżdżamy ogromnym autocarem z Odeusee, obierając jako cel naszej podróży wzorowo prowadzoną hodowlę świń p. Jacobsena. Mijamy po drodze fermy, pastwiska, ogrody; wkrótce jesteśmy na miejscu.

Nie będę tu opisywać wrażeń na ten temat, gdyż wątpię, aby to zajęło szan. czytelników, zwrócę jedynie uwagę na niektóre rysy charakteru duńskiego. Po dokładnem zwiedzeniu fermy, gospodarz przyjął nas poczęstunkiem. Miłe wrażenie czyniła na przybyszu czystość i bardzo gustowne urządzenie mieszkania, poza tem niewymuszona, prawdziwie szczera uprzejmość gospodarzy wprowadziła między nami szczery i wesoły nastrój.

Kobieta duńska na wsi zajmuje się jedynie domem i najbliższem jego otoczeniem, do roboty w polu ręki nie przykłada, a nawet czynność dojenia krów pozostawia mężczyźnie. Odbija się to dodatnio na prowadzeniu domu i jego urządzeniu wewnętrznem.

Uposażenie robotnika jest w Danji zupełnie dobre. W mieście zarabia on 8 koron dziennie, co równa się 19 złotym, na wsi 6 koron, czyli 14 złotych. I chociaż koszt utrzymania dziennego, w porównaniu z naszemi stosunkami, jest dwa razy wyższy, to jednak wynagrodzenie robotnika, szczególniej na wsi, jest lepsze niż u nas. To też często spotyka się emigrantów polskich, szukających tu lepszego zarobku, lub na stałe osiadłych.

Sądzę, że każdy podróżujący po Danji wywozi najmilsze wspomnienie z Kopenhagi. Bo i dziwić się temu niepodobna. Każda stolica jest ośrodkiem życia i odzwierciedleniem psychiki danego narodu. Spacerując po ulicach, zachodząc do sklepów, restauracyj, parków — wszędzie spotyka się ten beztroski spokój, cechujący ludzi północy. Wesołość — połączona z umiarem, praca — z rozrywką. Radzę każdemu, zwiedzającemu Kopenhagę, wstąpić wieczorem do „Tivoli", luksusowo urządzonego Luna-Parku, aby zobaczyć, jak umieją bawić się „lodowaci" Duńczycy.



Gwardzista królewski

W ciągu kilkogodzinnej zabawy w pięknem otoczeniu zapominają o troskach dnia codziennego. Ale z wybiciem dwunastej — życie nocne zamiera, ulice i lokale pustoszeją, i wkrótce sen panuje wszechwładnie nad pięknem miastem. Życie dancingowe nie jest tak dalece rozwinięte jak u nas. Surowo przestrzegane prawo wczesnego zamykania lokali hamuje ich rozwój. Spotyka się kluby nocne, do których wstęp mają jedynie członkowie. Tam mniej spokojni Duńczycy kończą wesoło rozpoczęty wieczór.

Obserwując większe restauracje i bary w Danji, można zauważyć, że niema między niemi tej zasadniczej różnicy, jak to zazwyczaj bywa w innych krajach, i często stolik ze skromną „pół czarnej" sąsiaduje zgodnie z szampanem czy kawiorem.

*

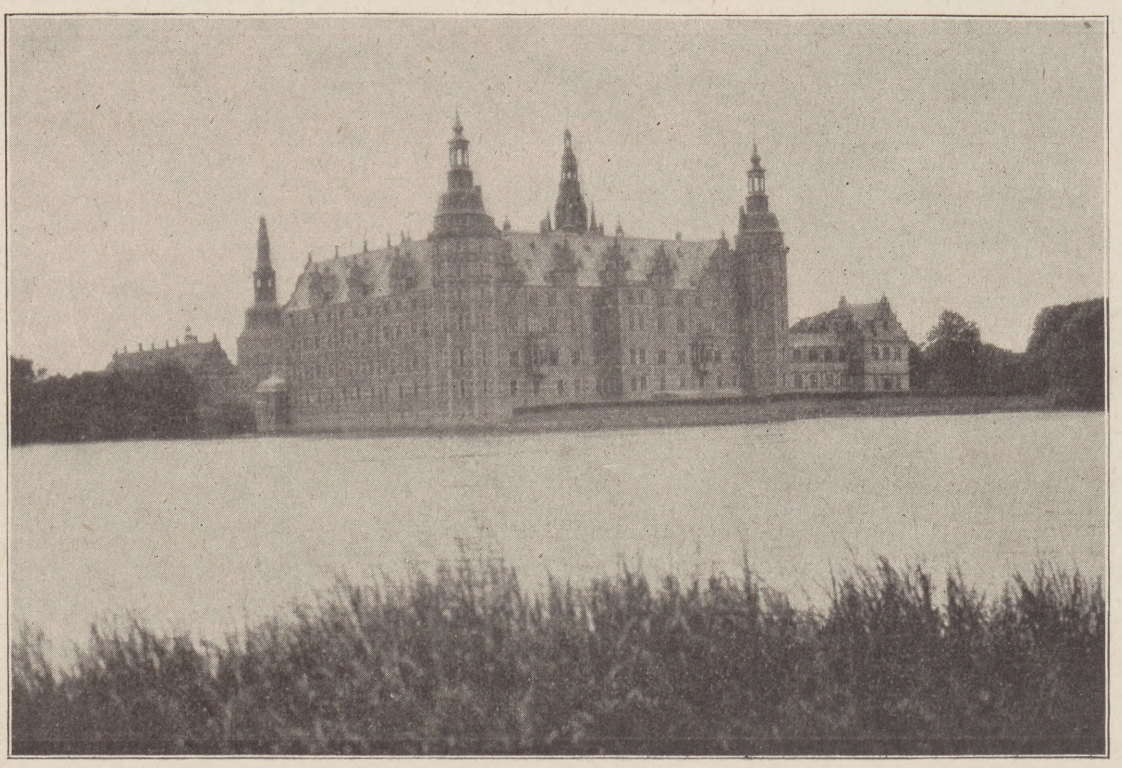
Nie będzie ryzykownem twierdzenie, że Duńczycy są może najbardziej demokratycznym narodem Europy. Mały rozmiar państwa wytwarza zamożność na jednym przeważnie poziomie, a duże fortuny zalicza się do bardzo rzadkich. Z tego wynika, że wszyscy tutaj czują się równymi, i to nietylko w teorji, lecz także w praktyce. Łatwość zawierania znajomości jest cechą charakterystyczną, i często restauracja ma wygląd domu rodzinnego.

Jedną z wybitnych cech Duńczyków jest rozwinięte w wysokim stopniu poszanowanie cudzej własności. Można śmiało w cukierni lub restauracji zostawić laskę czy jakikolwiek inny przedmiot, a jesteśmy pewni, że nikt nam go nie ruszy. Szeregi rowerów, pozostawione na ulicy i często cały dzień czekające na swych właścicieli, świadczą najlepiej o uczciwości duńskiej... Potwierdzeniem tego dodatniego rysu jest fakt, że w gazetach duńskich kronika kryminalna jest w kompletnym zaniku. Szczęśliwy kraj!

Jeszcze jedno małe spostrzeżenie. W Danji jest mało rozpowszechnione podawanie sobie ręki, a tem bardziej całowanie pań w rękę. Skinienie głową często zastępuje powitanie. Pod względem mody kobiecej Danja podlega wpływom Ameryki, to też spotyka się tu przeważnie krótkie suknie. Tak samo zamerykanizowany jest przemysł samochodowy, a to dzięki istnieniu w Kopenhadze fabryki Forda.

Nie mogąc z powodu braku miejsca opisywać pięknych zabytków Kopenhagi, muszę przecież stwierdzić, że jest ona jedną z piękniejszych stolic europejskich.

Jest wreszcie Danja tak odrębna życiem i obyczajami swych mieszkańców, tak psychicznie różni się od nas, że każdy polski turysta znajdzie tu ciekawe pole do obserwacyj i napewno nie będzie żałował, że tam skierował swe kroki.



Zamek Frederiksborg w Hillerod

Janusz Jaworski

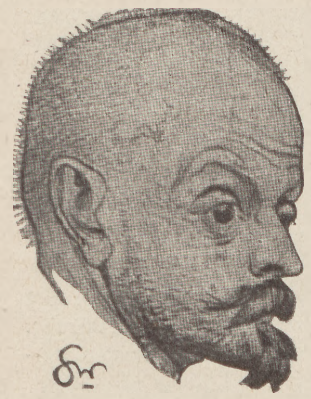
BOY-ŻELEŃSKI

„NA POCZĄTKU BYŁA CHUĆ..."

Lubię, kreśląc te wspominki [1]), zaglądać do listów Żeromskiego pisanych z Krakowa do narzeczonej. Bawią mnie te konfrontacje wrażeń. Otóż czytam pod datą roku 1892:

„Zapoznałem się z powieściopisarzem Sewerem. Ten ostatni jest już starowinką, ale krzepkim jeszcze i trzymującym z młodymi... Spotykamy się, i gadu gadu. Jest to taki gaduła, że trzeba na ulicy zmiatać przed nim, gdy się nie ma czasu, bo gotów godzinkę przetrzymać i poobrywać guziki u palta, tak je kręci. Złoty pierniczek!..."

Uśmiechnąłem się mimowoli, kiedym to czytał. Bo Sewer miał wtedy lat 52, a historja literatury—czy Feldmana czy Potockiego — podkreśla młodzieńczą świeżość, jaką zachował do końca. Ale mógł robić na kimś to wrażenie. Tak ludzie postarzali się dobrowolnie, charakteryzacją, strojem, narowami, wzięciem. Kto znał Sewera powierzchownie, ten mógł w istocie myśleć: „pan Jowialski". Pan Jowialski płatający niewybredne figle i psoty, potrzebujący ciągłego gwaru, wciąż głodny okazji do śmiechu, bawiący się bez końca jednym konceptem. To był Sewer „popołudniowy". Ale był i Sewer „poranny", jeden z najpracowitszych literatów w Polsce, który regularnie kropił swoich sto czy dwieście wierszy dziennie, zachowując do końca niezmęczoną wenę opowiadania, artysta wrażliwy na wszystkie kwestje i prądy, chwytający je za łatwo może czasem ale w lot, żyjący po koleżeńsku a zarazem po ojcowsku z młodymi, nie przestraszający się żadnej ich ekstrawagancji.



Jacek Malczewski (Rys. S. Wyspiański)

Kiedy skończył swój dzień pracy, Sewer puszczał głowę luzem. Wówczas bawił się byle czem, chodził, gadał, mącił wodę, świntuszył sobie z sarmacka i bardzo niewinnie, zaczepiał nieznajomych, pisał z byle powodu do przyjaciół listy zrywające znajomość, ale zapominał o tych listach zaraz po wysłaniu...

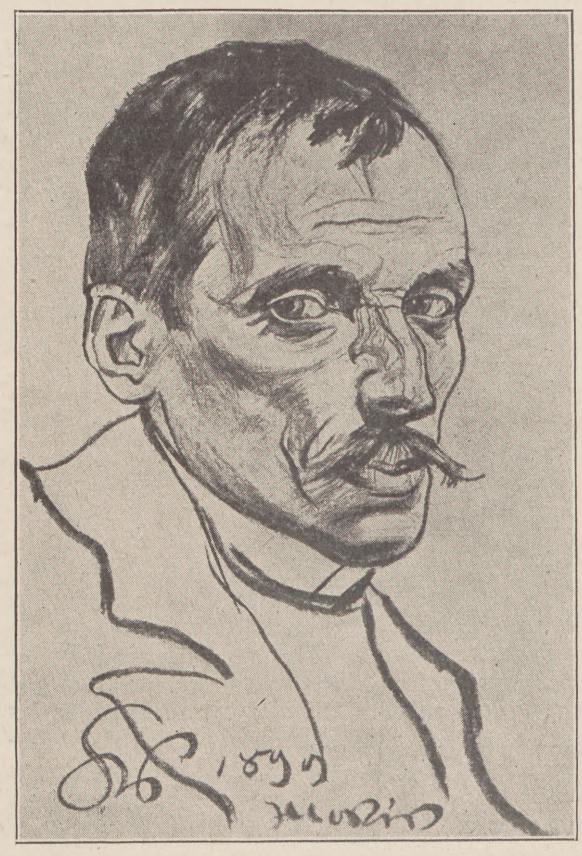
Szedłem raz z Sewerem ulicą; idzie naprzeciwko nas jakaś obca pani z córeczką i woła na nią: „Andziu, nie oddalaj się!" — „...Od trzody, — mówiła stara owca do owieczki młodej", wydeklamował jej Sewer prosto w twarz, ukłonił się i odszedł, zostawiając paniusię w osłupieniu. To próbka jego zabaw. Czy nie jowialszczyzna?

Ten pan Jowialski miał swoją nieodłączną panią Jowialską, przezacną panią Marję Maciejowską. Podobnie jak *Sewer* (to był pseudonim; nazywał się Ignacy Maciejowski) i żona jego wyszła ze sfery ziemiańskiej. Młoda jeszcze jej twarz była dosłownie pomarszczona ze śmiechu. „Co ten Sewer nie wymyśli", powtarzała krztusząc się od śmiechu i kręcąc wiecznego papierosa. Ale zajrzyjmy znów do Żeromskiego: „Stary Sewer zawsze z żoną pisze i przerabia"... To może przesada; ale w istocie *Sewerowa* była dzielną pomocnicą męża, była duszą tego domu, gdzie przez wiele lat zbierali się na codziennej popołudniowej herbacie Asnyk, Wyspiański, Reymont, Miciński, dwaj Tetmajerowie, Malczewski, Wyczółkowski, Kamiński, Starzewski, Górski, Wysocki, i cała czereda innych. Cóż to był za miły, uroczy dom, te trzy pokoiki na drugiem piętrze przy ulicy Batorego nr, 6, chwilami przypominające dom warjatów! Sewerowie byli tak zrośnięci z sobą, że, kiedy roztargnionego Sewera pytano o zdanie o jakiejś książce, pierwszym jego odruchem było zwrócić się do swojej generalnej sekretarki: „Marja, czy ja to czytałem? — Czytałeś. — Podobało mi się? — Podobało". I dopiero wtedy Sewer odpowiadał: „Czytałem, świetne!" Wiele takich zabawnych rysów z domu Sewerów wybornie utrwaliła pani Lucyna Kotarbińska w książce swojej *Wokoło teatru*.

Figlarstwo Sewera objawiało się na przeróżne sposoby. Koperty nie zaadresował, aby nie poczynić jakichś psotnych dopisków! Sławna była historja jego wikarego w Dołędze (Sewer pół życia gospodarował i do końca zachował ścisły kontakt ze wsią), którego władze duchowne przeniosły w drodze karnej, za taki adres skreślony przez Sewera: „Wielebny ksiądz X., wielbiciel Marji ale nie Boskiej, tylko Sewerowej Maciejowskiej". Jeżeli jaki „badacz" weźmie się kiedy naukowo do jego korespondencji, może dojść do fantastycznych wniosków. Zacnego Sewera, najprzywiązańszego małżonka, pomówią conajmniej o — erotomanję. Nic mu nie znaczyło w liście o charakterze czysto towarzysko-przyjacielskim dać nagłowek taki:

„Najdroższa! — za mało! Ukochana! — Za mało! Jedyna! — Nareszcie", tak jak nic mu nie znaczyło zakończyć np. tak: Całuję *ręce! wyraźnie* i głośno wołam r-ę-c-e! Przywiązany, oddany, zakochany Sewer", albo *„Całuję wszystkie okrągłości od a do z"*...; albo jeszcze gorzej; — poczem oddawał najspokojniej pióro żonie aby się dopisała. Ten stary dzieciak miał tak ustalone przywileje, że byłoby szczytem śmieszności w Krakowie obrazić się o cokolwiek na Sewera. Wszystko składało się na tę bezkarność, i wcześnie posiwiałe włosy, i fama emisarjusza z 63-go roku i emigranta, autora świetnych *Szkiców z Anglji*, i powszechna świadomość, że ten figlarz jest rozumnym i najlepszym człowiekiem.

Mam w ręku kilkadziesiąt listów Sewera pisanych do Elizy Pareńskiej, z której domem był w serdecznej zażyłości. Cały Sewer odbija się w tych listach. Wciąż kimś



Włodzimierz Tetmajer (rys. St. Wyspiańskiego)



Sewer Maciejowski. (Portret pośmiertny Jacka Malczewskiego)

się opiekuje, kogoś ratuje, dla kogoś kwestuje. To kupuje imieniem adresatki obrazek od młodego malarza, to szturmuje przez nią do bogatego kołtuna o stypedjum na lekcje dla młodej adeptki sceny; wciąż przejęty czyjąś biedą, czyimś talentem, ufny, życzliwy wszystkim i wszystkiemu, pełen optymizmu, zachowujący humor w drobnych i większych codziennych kłopotach. Bo opierając swój byt na pracy literackiej, zawsze zawisłej od kaprysów „rynku" i opłacanej nieregularnie, mimo to Sewer miał otwarte serce i pugilares dla innych.

Oto próbka ksiąg handlowych Sewera, wyjęta z listów do Pareńskiej, która też była potrosze domem bankowym „Młodej Polski":

„Włodzio nie namalował portretu, więc mi nie oddał 100 zł., Józio Wolff nie odsyła 300 rubli, Skiwski 800 odda dopiero po 15-tym, X... nie oddał 40, zatem proszę na tydzień lub dwa pożyczyć mi 100 zł. jeśli łaska..."

Przez szereg listów ciągną się projekty jakiejś wycieczki do Włoch, głównie dlatego aby zawieźć tam młodego literata, którego talent potrzebowałby wrażeń. Koszt wyprawy do Rzymu oblicza Sewer na 250 reńskich na głowę (sielskie czasy!), czeka tylko na pieniądze z *Ateneum*. Ale to marzenie o miesięcznem wytchnieniu okazało się zbyt wygórowane, bo już na drugi dzień pisze: „wczoraj podany przeze mnie projekt na Rzym upadł!... Na Rzym mamy za mało pieniędzy; wraca projekt Wenecja i do domu. Na Wenecję potrzeba 120 zł. na głowę i jedziemy tylko na dwa tygodnie".

Są w tych listach zabawne ploteczki literackie:

„Dziękuję za *Krzak dzikiej róży* Jasia. Są tam rzeczy prześliczne, nastrojowe i świeże, aż pachnie górskiem powietrzem i kosodrzewiną. *Na wzgórzu śmierci* silne, tylko ta dusza głupia, która nic nie robi, tylko oddaje się orgji zmysłowej z Lucyperkiem, — a cóż za wielkie rzeczy mogłaby mówić, gdyby umiała! Gdyby Jasia (Kasprowicza) było na to stać..."

To znów o czem innem:

„Przyjechał tu do nas Włodzio Tetmajer i zabawne rzeczy opowiada o konkurach Lucka o rękę Jagi w Bronowicach małych. Jak Lucek lata boso, z cwikierem na nosie, jak okopuje buraki, wiąże snopy, jak się umizga, jak jest czuły, sentymentalny i t. d.,

[1]) Por. „Tyg. Illustr." N-ry od 9 do 16.

i t. d., z humorem opowiada a wybornie robi Lucka, jego ruchy — jego miny. — Przytem bardzo lubi Lucka i śmieje się mówiąc, że dla mnie na listy przybył mi nowy tytuł dla niego: „szwagier Rydla"... I ja tak będę adresował. Ale Rydelek Lucek zrobił nam niespodziankę i zaimponował!!!!... Lubię go za to bardzo!"

A ta ploteczka, czy nie kapitalna? Seweerowie żyli w bliskiej przyjaźni z żoną głośnego filozofa-mistyka, profesora L. Otóż Sewer referuje:

„Pisała L.....a, że 44 już w drodze, tylko nie przez nią. Znalazł Lutuś podobno na Wołyniu matkę „cudzoziemkę", która pozwoliła na to, aby z niej (i Lutusia) przyszedł na świat *a imię jego 44*. Skądże Lutuś jest taki zarozumiały, że to *on* tylko może być ojcem 44-ech? Na to trzeba być warjatem, dziwię się tylko tej, którą znalazł"...

Szczegół ten z tak autentycznego źródła jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do psychologji sekt mistycznych. Uparcie pokutuje ustna tradycja, wedle której Towiański miał starać się Mickiewiczowi o matkę dla przyszłego geniusza; w tym samym czasie, *Ojciec-Wiekuisty* saint-simonistów, Prosper Enfantin, wędrował ze swemi uczniami do Egiptu, aby tam sobie szukać matki dla mesjasza...

„Lutuś" — jak go nazywa Sewer — toż to znowu cała karta dawnego Krakowa, i jakże charakterystyczna! W owej bujnej epoce, naprzeciw „czarnym mszom" Przybyszewskiego szerzy się magja biała: wszystkie sale są za ciasne, aby pomieścić słuchaczy mistrza Wincentego; musi przemawiać na błoniach. W przepełnionej sali Teatru ludowego, sfanatyzowani mężczyźni i kobiety ślubują poczwórną wstrzemięźliwość. Czyż nikt nie napisze historji *Elsów* krakowskich? Ale trzeba, aby to był ktoś mający poczucie humoru. Dziwne maskarady urządza czasem bożek Eros...

Byli i inni apostołowie. Pamiętam d-ra Augustyna Wróblewskiego, fanatyka czystości. Z każdego słowa jego prelekcyj czuć było, jak jest opanowany demonem płci. Znikł gdzieś nagle, zdaje się że w czeluściach domu zdrowia.

Wszystko było wówczas w fazie wrzenia, nawet antyalkoholizm. Miał swój okazowy egzemplarz: był nim stolarz Ligęza, stary pijak, który został abstynentem. Wyleczony z zastarzałego nałogu, demonstrowany tryumfalnie po wszystkich zjazdach i ceremonjach, opowiadał historję swego nawrócenia, jak pił, jak przestał pić, etc. Nieszczęściem, od czasu jak przestał pić, biedak zramolał zupełnie. Otóż, raz, w największej sali uniwersyteckiej, t. zw. *sali Kopernika*, był odczyt młodej studentki na temat „etyki płciowej"; po odczycie dyskusja. Pierwszy prosi o głos— stolarz Ligęza. Zaczyna kręcić swoją katarynkę: jak pił, jak przestał pić... Dłuższy czas dają mu mówić, wkońcu jednak przewodniczący przerywa mu i prosi, aby się trzymał ściśle tematu, którym jest (z naciskiem to zaznacza) *stosunek do etyki płciowej*. Stolarz Ligęza zafrasował się wyraźnie: „E, tego to już tam..." — machnął z wymownem zniechęceniem ręką i usiadł wśród homerycznego śmiechu sali. Powaga dyskusji prysła.

Ale wróćmy do listów. Jeszcze jakiś list Sewera, wcześniejszy. Data: 1898.

„Męczyłem się z *Życiem* i nareszcie odstąpiłem go Przybyszewskiemu, bo to jego rzecz, straciwszy na niem 700 złr., lecz cieszę się żem się pozbył — mam wolną głowę i swobodną myśl... Męczyłem się z dekadentami wściekle..."

Prawda! Oto charakterystyczny epizod, który trzeba było tu przypomnieć, skoro mowa o przewartościowaniu dawnego Krakowa. Ten stary powstaniec przejmujący na swoje barki organ najmłodszej Polski po to aby go wiernie oddać w ręce piewcy „nagiej duszy", to ma swoją pikanterję. Miał rację Żeromski, mówiąc, że Sewer „z młodymi trzyma"! Kiedy *Życie*, w pierwszej fazie bytu, nie mogło wydychać przy swoich 400 prenumeratorach i miało nieodwołalnie upaść, właściciele jego złożyli je w ręce Sewera. On ma stosunki (mówili), wydębi może jakieś pieniądze. Sewer wziął się najofiarniej do dzieła. Wyłożył swój literacki grosik, wykupił *Życie*, redakcję oddał Arturowi Górskiemu, sam uczynił się „wielkim jałmużnikiem" pisma. Kogo on nie naciągnął na to *Życie!* Znów czytam w liście: „Szczepanik przysłał 500 zł., Badeni marszałek 200, może co Wyczół uzbiera w Warszawie. Za to znowu zaczynają krzyczeć, że *Życie* jest nudne i bezbarwne. Kazio Skrzyński powiada, że to organ księdza biskupa Puzyny. Trudno wszystkim dogodzić".

Przemęczył się Sewer najgorsze letnie



„Na początku była CHUĆ..." (Rysunek E. Muncha z „Życia" Przybyszewskiego)

miesiące; wreszcie, kiedy w jesieni 1898 zjechał do Krakowa Przybyszewski, Sewer oddał mu pismo. Było coś bardzo ładnego w sposobie, w jaki traktował Sewer swój depozyt i swoją rolę. Przybyszewski wziął nietylko *Życie*, ale zabrał Sewerowi połowę codziennych herbacianych gości. Za silna była fascynacja na młodych: „Przybysz" lał do herbaty połowę koniaku, takiej konkurencji „herbaciarnia" kochanej Sewerowej nie mogła wytrzymać.

Sewer pogodnie zniósł tę dezercję. Wrażliwy na wszystkie zjawiska, umiejący przytem ze wszystkiego wycisnąć trochę zabawy, z ciekawością przyglądał się co się dzieje w nowem *Życiu*, jak na kartach niedawno tak spokojnych i zbożnych wykwitają upiorne wizje Muncha, jak rozbrzmiewa dźwiękiem organów synagoga szatana, jak „Msza za umarłych" łka wersetami nowej ewangelji płci. Czytał to wszystko stary Sewer (wówczas miał już pod sześćdziesiątkę), chodził po pokoju z rękami założonemi w tył i powtarzał swoim nosowym głosem pierwsze zdanie poematu Przybyszewskiego: *„Na początku była CHUĆ.* Tak, tak, na początku była chuć. Prawda, Maciejowska?" A Sewerowa parskała swoim krótkim śmiechem i mówiła: „Oj, ten Sewer, ten Sewer, co on nie wymyśli!".

ZAGADNIENIE KOMUNIKACYJNE W STOLICY

Nie ulega wątpliwości, że w strukturze stolicy zaczynają w szybkiem tempie następować zasadnicze zmiany. Dawna, wciśnięta między łańcuch przeraźliwie bliskich fortów, Warszawa, rozwija się, ogarnia coraz szersze tereny, przenosi się nietylko na Żoliborz czy Kolonję Staszyca, ale także na Bielany, Czerniaków, Okęcie, Grochów, Wierzbno i .t d. Śródmieście, w którem dotąd wbrew wszelkiej logice gnieździła się prawie cała ludność stolicy, — zaczyna stopniowo nabierać właściwego charakteru — City. Może za lat kilkadziesiąt na Marszałkowskiej, Nowym Świecie, Jerozolimskiej i Senatorskiej będą już same tylko biura, sklepy i domy handlowe, podczas gdy ludność, uciekającą z niemiłych murów, wywędruje do nowych „Villen-Viertel" ciągnących się szerokim pasem wokół stolicy.

I tu powstaje nowe zagadnienie, będące już dziś, w pierwszej fazie, udręką mieszkańców Warszawy: zagadnienie komunikacyjne.

Niedawno opublikowana statystyka wykazuje, że pod względem komunikacyj urbanistycznych, Warszawa stoi na ostatniem miejscu pośród miast „miljonowych". I to tak pod względem długości sieci, jak i gęstości ruchu wehikułów użyteczności publicznej. Ba, ustępuje znacznie nawet miastom o połowę od siebie mniejszym

Przyczyny leżą tu oczywiście w nienormalnym rozwoju miasta za czasów rosyjskich. Nie powód to jednak, aby i dziś wędrować utartemi ścieżkami i operować w tej dziedzinie metodami z przed laty pięćdziesięciu.

Podczas gdy mieszkaniec Paryża może w czasie dwugodzinnej przerwy udać się na obiad do domu, odległego często o 8—10 km, może spokojnie zjeść ten obiad, wypocząć i świeży, wypoczęty powrócić do zajęcia, — u nas brak komunikacji zmusza większość biur i instytucyj do stosowania pracy „bez przerwy", systemu nielogicznego, niehigienicznego i niepraktycznego. Bo po pierwsze, któryż to człowiek jest w stanie pracować intesywnie a bez przerwy siedem do ośmiu godzin? I kto tak długi okres czasu, do którego trzeba dodać drogę z domu i do domu, wytrzyma bez posiłku?

Oczywiście znajduje się na to charakterystyczne „półśrodki". Śniadanka czy herbatki, podawane we wszystkich prawie instytucjach, w czasie gdy publiczność niecierpliwie tłoczy się przy okienkach. Bułeczki zajadane dorywczo w chwili załatwiania interesantów. Wychodzenie „na kwadransik" w czasie urzędowania. Słowem rzeczy niezdrowe, denerwujące i poniekąd niekulturalne. W którymż to cywilizowanym kraju urzędnicy przyjmują interesantów z bułkami w zębach?

Zrobić przerwę obiadową? — jeszcze gorzej. Większość pracowników do domu na obiad nie zdąży. Restauracyj w rodzaju Chartiera, Duvala czy Ashingera, zdolnych obsłużyć w ciągu jednej południowej godziny dziesiątki tysięcy ludzi pracujących, niema zupełnie. Ba, — przecież w naszych lepszych restauracjach trzeba nieraz godziny i więcej, aby zjeść zwykły obiad.

Dodajmy, że człowiek mieszkający na Żoliborzu czy Forcie Dąbrowskiego traci dziennie kilka godzin na siedzenie w tramwaju, że jest stale zdenerwowany, że nigdy nie może się dokładnie z kimś umówić, że zawsze się śpieszy, że pójście do teatru przedstawia się dlań jako hamletowski dylemat. Czy wiadomo jak długo trzeba będzie „dziś akurat" czekać na tramwaj, czy wiadomo jak długo tenże tramwaj czekać będzie sam na mijankach, czy wiadomo ile przeszkód natrafi na

swej drodze elektrowóz: przemarsz wojska, pochód komunistów, pogrzeb, zbiegowisko, zderzenie dorożki z taksówką?

I oto mówi się obecnie o przedłużeniu tramwajów miejskich do Wilanowa, Wawra i Bielan. Dziś, kiedy lepiej bodaj mieszkać w Grodzisku niż w Czerniakowie i lepiej w Wołominie niż na Żoliborzu. Dziś, kiedy z Królewskiej do Czerniakowa jedzie się niemal godzinę, jeśli wszystko idzie dobrze. Ile więc potrwa „podróż" tramwajem do Wilanowa czy Bielan?

Oczywiście, lepszy rydz, niż nic. Ale tramwaj taki będzie mógł mieć conajwyżej charakter „letni i wycieczkowy". Dla ludzi zdążających do pracy przedstawiać będzie zwykłą udrękę, źródło nieporozumień, chorób i zdenerwowania.

A co stanie się za lat pięć, dziesięć, kiedy Warszawa, rozwijając się nadal na peryferjach stworzy konieczność przerzucania już



Rozkosze podróży tramwajem warszawskim Fot. Ruan

nie tysięcy, ale dziesiątków i setek tysięcy ludzi, codziennie na każdej z tych linij. Czy i wówczas ludzie ci wisieć będą na stopniach, wyczekiwać na słocie, tłoczyć między ławkami i tracić czwartą część życia na przejazdy tramwajami?

Nie! Zagadnienie komunikacyj miejskich przedstawia się dla Warszawy w dzisiejszej chwili zbyt poważnie, aby sprawę traktować można było powierzchownie czy prowizorycznie. Kolej podziemna Muranów-Mokotów sama nie rozwiąże zagadnienia, tak jak nie rozwiążą go tramwaje do Wawra czy Bielan. Warszawie potrzebna jest planowa, nowoczesna i przystosowana do warunków miejscowych rozbudowa sieci komunikacyjnej śród i podmiejskiej.

Więc przedewszystkiem szybkobieżna „podziemka", z linjami sięgającemi właśnie do Wilanowa, Służewa, Okęcia, Grotów, Bielan, Targówka, Kamionka, Wawra. Linje te w śródmieściu podziemne, mogą na przedmieściach biec po wiaduktach lub w specjalnych okrytych darnią wykopach, które w razie rozwoju miasta można zawsze zasklepić.

Czas jazdy Plac Napoleona—Wilanów nie powinien przekraczać 20 minut. Wówczas urzędnik mieszkający w Wilanowie, a pracujący w śródmieściu będzie mógł wstępować do domu na obiad.

Należałoby również rozbudować sieć elektrycznych kolei szybkobieżnych, w rodzaju



Małe „zatkanie" na Lesznie

kolejki grodzieńskiej, rzucić tory w kierunku zupełnie niedostępnej, acz pod bokiem stolicy leżącej, Puszczy Kampinowskiej, stworzyć linje okrężne „Grande Banlieue", a kochanemu warszawskiemu tramwajowi pozostawić tylko linje rokadowe na przedmieściach, dostarczające z bocznych kierunków podróżnych magistrali.

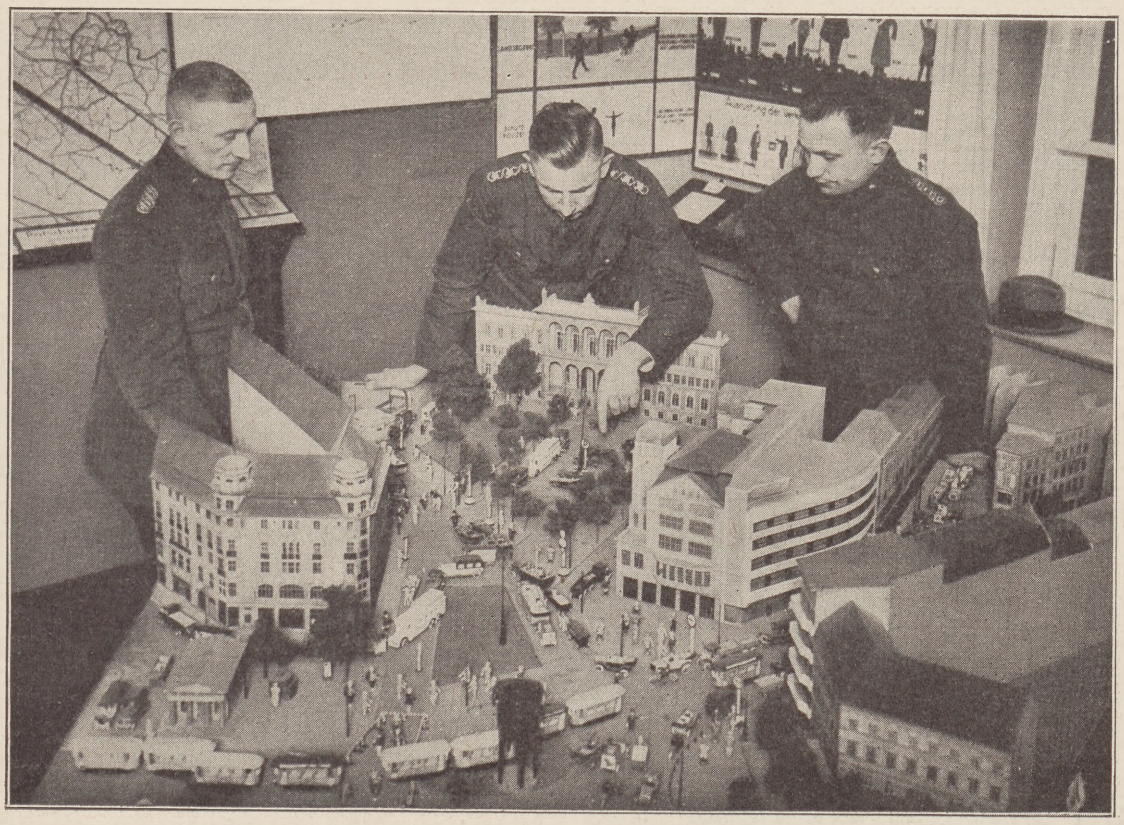
Ruch lokalny wewnątrz miasta wezmą na siebie autobusy.

Drugą częścią zagadnienia byłoby przystosowanie naszych kolei do ruchu podmiejskiego, odpowiadającego wymogom wielkiego miasta. Pod tym względem wiele się zmieni na lepsze z chwilą otwarcia linji śródmiejskiej i dworca głównego. Ale i tu władze kolejowe powinny z góry przygotować się do akcji na szeroką skalę.

Linje francuskiego „Etat", obsługujące trzy dworce paryskie—St. Lazare, Montparnasse i Invalides przewożą około $^2/_3$ pasażerów, podmiejskich mieszkańców Paryża, to jest okrągło 131 miljonów rocznie. Sam dworzec St. Lazare wysyła dziennie 814 pociągów podmiejskich z maksim 285.000 pasażerów. Są godziny, w czasie których przewija się



Niekiedy trzeba brać szturmem wozy tramwajowe, jadące do odległych dworców kolejowych Fot. J. Ryś



Poglądowa nauka regulowania ruchu ulicznego w Berlinie Fot. Pacific-Atlantic

53.000 podróżnych Z jednego peronu odchodzi dziennie 188 pociągów, gdyż prócz podmiejskich, „Etat" wysyła jeszcze 190 pociągów dalekobieżnych. Liczba tych ostatnich wzrasta latem (sezon wakacyjny i kąpielowy) do 243. Sama linja do Wersalu, która przed trzydziestu laty przewoziła 13 miljonów pasażerów rocznie, dziś przewozi ich z górą 30 miljonów.

Oczywiście trzeba było szeregu celowych i praktycznych reform, aby podwoić i potroić zdolność przewozową paryskich kolei podmiejskich. Nie wystarczało tu, jak sądzą laicy, dodawanie wagonów. Trzeba było rozbudować stacje, znieść słynny tunel Batignolles, zelektryfikować szereg linij, stworzyć pociągi nie wymagające zmiany lokomotyw na stacjach krańcowych (maszynista umieszczony w drugim końcu pociągu kieruje przy pomocy przyrządów przykaźniczych, na lokomotywie jest tylko palacz), zgęścić i zelektryfikować blok-system, przebudować perony i t. d., i t. d., a przedewszystkiem przystosować rozkład jazdy do wymogów życia.

U nas ruch podmiejski funkcjonuje dość sprawnie, jednakże nie ulega wątpliwości, że jest-to maksimum nasycenia, i że za rok, dwa, zaczną się ponownie udręki z lat ubiegłych. Koleje nie będą w stanie podołać zadaniu. A w każdym razie nie będą odpowiadały europejskim pojęciom ruchu podmiejskiego.

Nie mówiąc już o elektryfikacji, co wymaga dość poważnych inwestycyj, palącą jest potrzeba zbudowania trzecich i czwartych torów na niektórych linjach (Warszawa-Grodzisk, Warszawa-Otwock). Spóźnienie jednego pociągu dalekobieżnego wywołuje tam nierzadko spóźnienie kilku lub kilkunastu pociągów podmiejskich. Jeżeli zaś — jak to próbowano niesłusznie — dać pierwszeństwo tym ostatnim, to wówczas ruch tranzytowy, międzynarodowy i dalekobieżny staje się uzależniony od sprawności ruchu w komunikacji podmiejskiej. Ta zaś niezawsze da się utrzymać.

Dlatego też należy na linjach o większem natężeniu wyodrębnić zupełnie te dwie dziedziny kolejowe. Pociągi podmiejskie, tam gdzie ich jest więcej, winny mieć własne tory. Albowiem, podczas gdy kursujące z jednakową szybkością i jednakowemi postojami pociągi mogą przy odpowiednim bloksystemie biec za sobą nawet w odstępach pięciominutowych, — o tyle prowadzenie po tych samych torach pociągów o różnej szybkości i różnych postojach, wprowadza już znaczne perturbacje i sprawia, że zdolność przelotowa linij pozostaje często niewykorzystaną.

Mówiąc już o szybkości, niepodobna nie wspominać o żółwim biegu naszych pociągów podmiejskich, nawet na tych linjach na których dopuszczalna jest szybkość 80 km/godz. Zestawiając dwie linje o trakcji parowej i tej samej liczbie przystanków, we Francji i u nas (przyczem nasza ma wzniesienia do 4 pro mille, a francuska do 12), otrzymujemy czas jazdy o 30% lepszy dla kolei francuskiej. A przecież nie święci garnki lepią i cudów w świecie kolejowym niema.

Jedną z bolączek ruchu podmiejskiego jest zły układ torów na stacjach, brak specjalnych „podmiejskich" peronów i stąd wynikłe trudności w manewrowaniu pociągami i parowozami. W takim np. Wołominie przestawienie parowozu na drugi koniec pociągu wymaga około kwadransa i blokuje jednocześnie wszystkie tory stacyjne.

Bolączką jest też zastosowanie przy pociągach podmiejskich niewłaściwych parowozów. Zamiast t. zw. tendrzaków (parowozów beztendrowych o silnej czepialności — i nie wymagających tarcz obrotowych) dyrekcja warszawska stosuje często stare niemieckie parowozy „OD1" i „OD2" — słabe, absolutnie niezdatne do pociągów podmiejskich. Na stacjach krańcowych trzeba te parowozy obracać, co zabiera dużo czasu: albo też wysyłać w drogę tendrem naprzód, co znów zmniejsza przepisową szybkość do 45 km/godz.

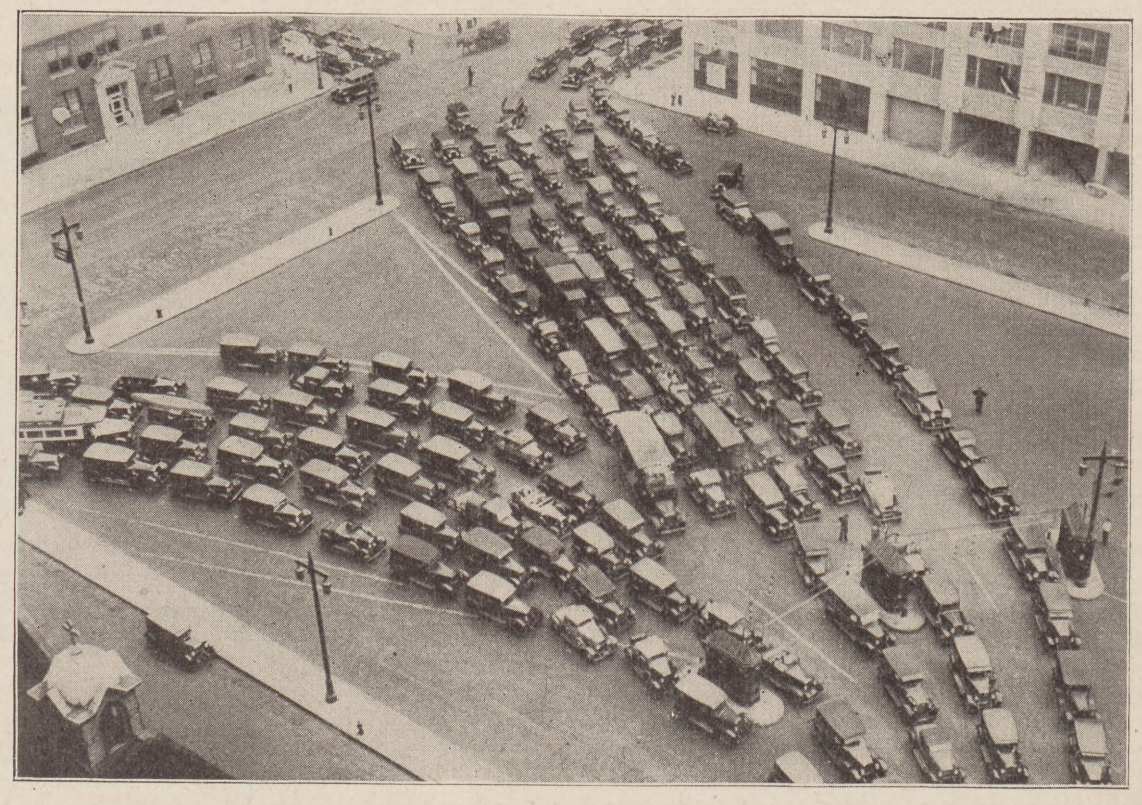
Ostatnio sprowadzono na węzeł warszawski kilka nowych „tendrzaków" polskiego wyrobu. Ale jest ich stanowczo za mało. Wiele pociągów podmiejskich kursuje z tego powodu z opóźnieniem. A tymczasem w dyrekcjach krakowskiej, lwowskiej, gdańskiej, poznańskiej, tendrzaki bądź stoją bezczynnie na linjach zapasowych, bądź używane są do manewrów na stacjach (gdzieby je mogły zastąpić stare parowozy towarowe, bądź — co gorsze — ciągną pociągi pasażerskie, wcale użycia tendrzaków nie wymagające.

A więc naprzód „tendrzaki", trzecie i czwarte tory, przebudowa dworców, zgęszczenie bloksystemu. Potem elektryfikacja i południowa linja okólna przez Czerniaków do Wawra. Wten sposób mieszkańcom podmiejskich okolic dana będzie możność regularnej, łatwej i dogodnej komunikacji ze stolicą.

A propos elektryfikacji odcinka: linja średnicowa od Szczęśliwic do Kawęczyna — ostrzegamy odnośne czynniki kolejowe przed stratą czasu wynikającą z zamiany parowozów na lokomotywy elektryczne. W Niemczech przed wojną zmieniano parowozy w cztery, niekiedy w dwie minuty. U nas trzeba na to ośmiu lub dziesięciu. Podróżny jadący z Ursusa czy Wawra do Warszawy straci na zmianie lokomotywy prawie tyleż, ile wynosi obecny czas jazdy. To też trzeba tu znaleźć jakiś modus vivendi

Tak czy inaczej, zagadnienie komunikacji śród-i-podmiejskiej należy do najbardziej palących zagadnień życia stolicy i władze municypalne łącznie z kolejowemi nie powinny go zaniedbywać. Inaczej stworzy się „zakorkowanie" i warunki egzystencji, już niebardzo w stolicy miłe, — staną się naprawdę nie do zniesienia.

Inż. J. G.



„Zatory" automobilowe na ulicach Nowego Jorku Fot. Pacific-Atlantic

WYPRAWA KAWALERZYSTÓW POLSKICH DO NICEI

TRENING ZIMOWY, PRZYGOTOWANIA, SZANSE (ROZMOWA Z MJR. MICHAŁEM ANTONIEWICZEM)

W chwili, gdy Czytelnicy czytać będą tę interesującą rozmowę z szefem Grupy Sportu Konnego w Grudziądzu — mjr. Antoniewiczem, na pięknym stadjonie w Nicei rozgorzeje już na dobre walka o zaszczytny, nieoficjalny tytuł pierwszych jeźdźców świata.

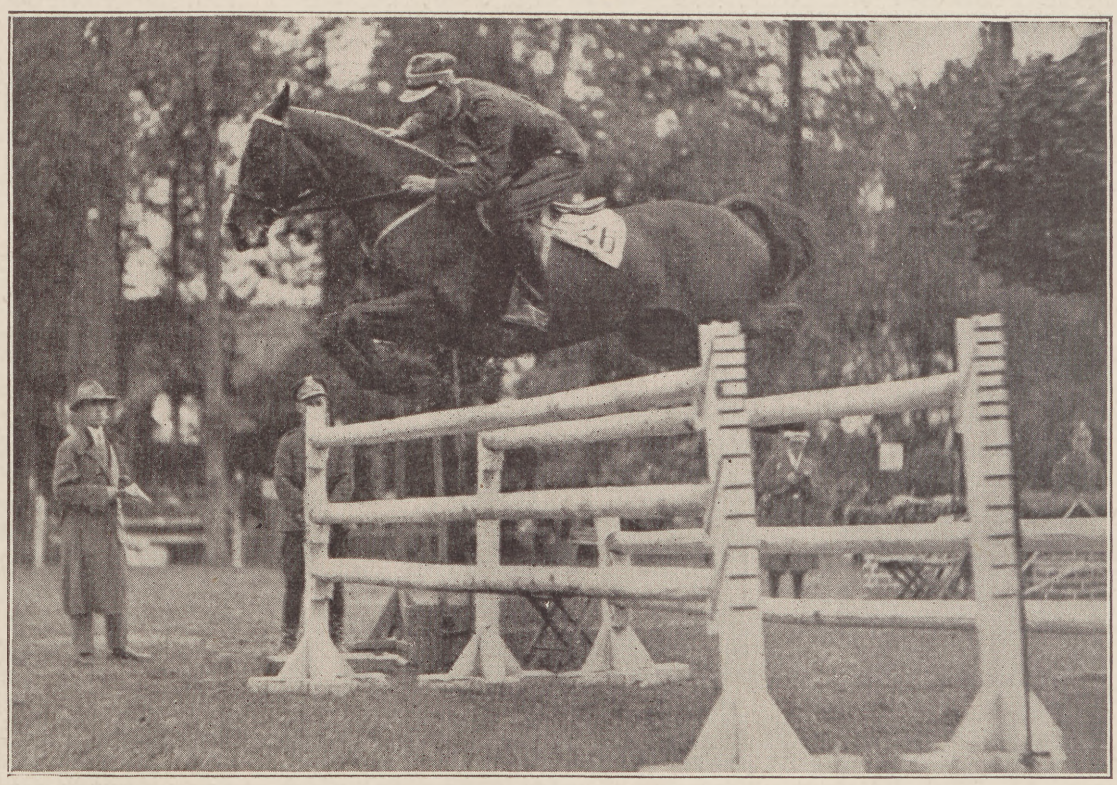
Pisma codzienne podawać będą depesze z Nicei o wynikach naszych jeźdźców na gorącym terenie Nicei. Tem łatwiej będzie zrozumieć, co się dzieje na Jasnym Brzegu i ocenić sytuację, skoro się zapozna z poniższym wywiadem.

Kawalerzyści pojechali do Nicei. Po długich, rozwlekłych targach, rozpatrywaniu i ważeniu każdego słowa i każdej złotówki, nastąpiła wreszcie decyzja. Ambicja narodowa i sportowa zwyciężyła. Znalazły się wygrzebane „z pod siennika" fundusze. Nie jedziemy po pewne zwycięstwo. Trudno, trzeba to sobie powiedzieć śmiało i odważnie. Kilkuletnia „amerykańsko-rabunkowa" gospodarka końskim materjałem hippicznym zrobiła swoje: „pokończyły się" stare, wysłużone konie, nowego „narybku" nie widać.

Zebrano i „wyłatano" tak jak można było „staruszków", dopełniono tę wysłużoną i zasłużoną paczkę obiecującą młodzieżą i ruszono z dobrą myślą na Jasny Brzeg.

Pierwszy wyjechał rtm. Kapuściński z końmi. Załadowano wierzchowce do wagonów już dn. 3 b. m. i ruszono z Grudziądza na Wiedeń, Medjolan do Nicei. Konie, któremi opiekował ię oprócz rtm. Kapuścińskiego wachmistrz i pięciu luzaków, zniosły podróż — jak słychać — zupełnie dobrze. Dwa z nich nieco kasłały z przeziębienia.

Reszta drużyny — czterech oficerów pod kierunkiem szefa wyprawy, pułk. dypl. Trzaski-Durskiego, szefa sztabu D. O. K. V — wyruszyła z Polski dn. 7 b. m.



Jeden z najlepszych koni świata, zdobywca 8 wielkich indywidualnych nagród i pucharów w Europie i Ameryce, „Redgledt", pod rtm. Starnawskim. W Nicei jeździ na nim por. Kulesza

Na kilka dni przed odjazdem udało mi się przychwycić kierownika sportowego nowej drużyny hippicznej, a jednocześnie szefa Centrum Wyszkolenia Kawalerji w Grudziądzu — mjr. Michała Antoniewicza. Twarz sympatycznego, zasłużonego sportowca pała zadowoleniem.

— Szczęśliwie udało się doprowadzić ekspedycję do skutku — rzucam zdanie.

— A tak. Niemało było z tem kłopotu. Jednak dobrnęliśmy szczęśliwie, mimo niezliczonych trudności, do... wyjazdu. Przynajmniej *będziemy* na miejscu. Mamy może nieco mniejsze szanse, niż dotychczas, lecz mamy przecie jakieś nadzieje. Nie zawsze można „na pewno" zwyciężać, zwłaszcza w hippice.

Od siedmiu lat jeździliśmy na doroczną, międzynarodową giełdę hippiczną do Nicei i teraz ni stąd ni zowąd miałoby nas zabraknąć?! Nie byłoby to mile widziane. — Jak się czują trochę gorzej, biorą nogi za pas i chowają głowy pod kołdry — powiedziałaby zagranica. Wygrywaliśmy niejednokrotnie, pokażmy, że, jak trzeba, potrafimy godnie i po męsku przegrać. Znajdzie się w Nicei dość takich, którzy potrafią i zechcą nasze wysiłki ocenić.

Co tu dużo mówić, jestem zdecydowanym zwolennikiem francuskiego przysłowia, które mówi: przegrali przedewszystkiem i zdecydowanie ci wszyscy, którzy na zawodach nie byli obecni!...

A zresztą zà dużo nieco mówimy o przegranej. Konie nie są, jak wiadomo, najlepsze, ale chodzą doskonale.

Ponieważ w konkursach nicejskich naogół znacznie większy nacisk się kładzie na szybkość parcours'u, zmieniłem nieco rodzaj zimowej zaprawy koni. Zamiast wypracowywać sam skok jako taki i „wyciągać" wysokość, trenowaliśmy przedewszystkiem galopy i skoki w pełnym biegu.

Kosztem pewnej zwrotności i gibkości konia osiągnęliśmy większą sprawność samego skoku przy dużej szybkości.

Konie idą teraz śmiało na przeszkodę, nie „cyzelują" barjer, tylko idą ostro i elastycznie. Trzeba pamiętać, przecie, że większość zawodów nicejskich, to konkursy o typie myśliwskim. Parcours'y najeżone są trudnemi, niezmiernie szerokiemi przeszkodami. Gdy człowiek podejdzie do takiego „hipopotama" na piechotę, aż mu się wierzyć nie chce, że przez tego djabła przelatuje się razem z koniem!

„Bazowanie" koni zarzuciłem zupełnie jako sposób treningu zbyt nienaturalny, przynoszący często opłakane skutki.

Wybór koni w r. b. był stosunkowo nietrudny, gdyż niewiele zostało nam starych koni, przedstawiających większą wartość. Na ogólną ilość siedemdziesięciu kilku koni, jakiemi dysponuje Grupa Sportu Konnego w Grudziądzu, jest zaledwie 14 koni starszych, mających mniej lub więcej zaszczytnie zapisaną kartę swej działalności sportowej. Reszta to młódź — młódź często bardzo obiecująca, lecz realnych korzyści spodziewać się można tutaj nie wcześniej jak za 2 lata.

Skład personalny drużyny naszej, zdecydowany już w początkach marca, pozostał bez większych zmian. Wybraliśmy tych oficerów, którzy wraz z końmi, jakich dosiadają, przedstawiają najwyższą, w chwili obecnej, wartość.

Rtm. Starnawski jeździć będzie na dwóch równych zupełnie pod względem jakości koniach: „Nelsonie" i „Narcyzie". Konie silne, gorące, ostro idące na przeszkodę. Trzeba mieć do nich silną rękę, a tej rtm. Starnawskiemu nie zabraknie.

Rtm. Kapuściński dosiadać będzie pięknej i wartościowej „Doneuse" — spuściźny po ppłk. Rómmlu, oraz „Orła".

Por. Kulesza dosiada klaczy „Vermeille" i fenomenalnego „Redgledta", którego udało nam się — pukam w suche drzewo — „wyłatać". Ten świetny koń, mający w swym dorobku więcej zwycięstw, niż wszystkie inne konie razem wzięte, i to zwycięstw najwyższej wartości, jest niewątpliwie najwybitniejszym wierzchowcem z naszej dziesiątki, a może i najlepszym koniem, jaki biegał w barwach Polski. I jednocześnie „Redgledt" jest koniem obecnie najdelikatniejszym: przy lada niefortunnem stąpnięciu mogą odnowić się jego stare defekty i będzie odrazu nie do użytku.

Wreszcie por. Korytkowski jeździć będzie na „Nidzie" i wysłużonym „Zeferze".

Poza ośmioma wyżej wymienionemi końmi pojechały nadto dwa konie zapasowe: „Oberek" i „Orgja". Te dwa konie stanowią konieczną rezerwę w razie, gdyby któryś z wierzchowców zaniemógł.

— A pan, panie majorze, nie będzie startował? — rzucam śmiałe pytanie.

Chwila wahania, przytłumiony uśmiech w kącikach ust

— Chciałaby dusza do raju, ale... doktorzy nie dają jeszcze. Przyznać się panu muszę, że siedziałem na koniu i czułem się doskonale. Lekarze zbadali mnie „od góry do dołu" i zdecydowali, że wszystko w porządku, zarówno serce, jak i płuca, nerki, wątroba i t. p. szczegóły ludzkiego wnętrza — na miejscu. Jak się będę bardzo dobrze czuł, może siądę na zapasowego konia, aby spróbować szczęścia. Kto wie, może się uda... Mam nadzieję, — ciągnie dalej mjr. Antoniewicz, — że wyniki tegoroczne nie będą tak słabe, jak się ogólnie przypuszcza. Włożyliśmy dużo pracy, zapału i ambicji w przygotowanie koni i jeźdźców. Kawalerzyści pracowali dużo i chętnie, rozumiejąc swoje wierzchowce doskonale. Poza tem konie przybędą do Nicei najdalej 9-go kwietnia. Będą miały dość czasy, aby rozprostować kości, rozprężyć mięśnie i przyzwyczaić się do zmiany temperatury i klimatu. A to są rzeczy bardzo ważne — w ciągu dziewięciu dni można przeprowadzić stopniowe, systematyczne przygotowanie koni do konkursów, nie męcząc ich i nie przeforsowywując zbytnio.

— Kto będzie jeździł w Nicei i kogo pan uważa za najgroźniejszego przeciwnika?

— Jak co roku, spodziewamy się — potwierdzają to zresztą wiadomości z gazet francuskich — spotkać elitę jeździecką świata. Oprócz Polaków (4 jeźdźców) i Francuzów (6 jeźdź.) będą Włosi (6 jeźdź.), Irlandczycy (4 jeźdź.), Belgowie (5 jeźdź.), Rumuni (5 jeźdź.), Hiszpanie (6 jeźdź.), Portugalczycy (5 jeźdź.), Szwajcarzy (5 jeźdź.) oraz jeden Japończyk. W skład drużyn wchodzą wszystkie asy.

Naszą ambicją będzie zdobyć po raz trzeci Puhar Narodów, który zdobyliśmy w Nicei dwukrotnie w roku 1925 i drugi raz w roku 1928-ym.

Niestety nasi najwięksi konkurenci Włosi, którzy zdobyli Puhar Narodów w Nicei również dwukrotnie posiadając 7 koni o najwyższej klasie światowej, mają w tej walce szanse dwukrotnie większe od Polaków.

Grozę sytuacji w tej nierównej walce powiększa fakt, że Włosi Puhar Narodów zdobyli właśnie w dwu latach ubiegłych: 1929 i 1930, co świadczy, że ich materjał koński jest obecnie na świecie bezkonkurencyjny.

W razie zwycięstwa Włochów, zdobyliby oni nicejski Puhar Narodów już po raz drugi na własność. Jeden taki puhar stoi w muzeum wojskowem w Rzymie.

W r. 1924-ym ufundowano nowy puhar, który tego roku zdobyli Francuzi. Rok później triumfowali Polacy, w r. 1926-ym Belgowie, w r. 1927-ym — Anglicy.

Konkursy nicejskie, ważne są dla nas przedewszystkiem jako odskocznia do podtrzymywania szerokich stosunków międzynarodowych. Poza tem jest to znakomita szkoła dla kawalerzystów młodszych, którzy w ogniu gorących walk nabierają obycia i rutyny, względnie to obycie podtrzymują i szlifują.

A te wartości w obliczu Olimpjady w Los Angelos nie są dla nas bez znaczenia — zakończył interesującą rozmowę mój rozmówca.

Tadeusz A. Grabowski

ZYGMUNT NOWAKOWSKI 17)

PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI

Kasia przeżegnała się, a stróżka umilkła. Po chwili patrząc się na mnie w jakiś dziwny sposób, spytała, co my zrobimy ze sobą. Powiedziałem jej, że to nasza rzecz i wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. Jak ona śmiała?!... Nie mówiłem o tem mamie, tylko Bolkowi, który mi powiedział: Widzisz! Poco chodzisz do kuchni?!... Miał rację, już tam więcej nie pójdę.

W nocy słyszałem sowę. Siedziała niedaleko mego łóżka, płacząc raz po raz: Uuu!.. Uuu!... Miała świecące oczy, któremi bez przerwy patrzyła na mnie. Były wielkie, jak latarnie gazowe. Potem zgasły nagle. I zrozumiałem, że to mama w drugim pokoju zdmuchnęła lampę, której światło przechodziło przez dwie szpary w drzwiach. To nie była sowa. Zasnąłem.

Rano Bolek i Janek ubrali się sami, bez niczyjej pomocy i zaraz po śniadaniu poszli razem do szkoły. Nie było nawet trzech kwadransów na ósmą. Janek chciał się jeszcze wrócić, ale Bolek mu coś powiedział i wyszli. Razem. We dwójkę. Widziałem, jak Bolek Jankowi poprawiał kołnierz. A po ich wyjściu Kasia zauważyła, że obaj panicze zapomnieli wziąć przygotowanych już i zawiniętych bułek. Zdarzyło się im to po raz pierwszy. Mama zdziwiła się bardzo, bardzo.

Potem mama poszła na lekcje jak zawsze, a Kasia do piwnicy po węgle. Śpieszyłem się okropnie i gdy wróciła, zastała mnie już całkiem ubranego. Chciała coś jeszcze poprawiać na mnie, szukała jakiegoś niedopiętego guzika, ale nic nie znalazła. I była nawet zła. Poszliśmy na targ. Nie dałem się prowadzić za rękę, bo to przecież nie miało najmniejszego sensu.

Śnieg leżał wszędzie, a drzewa w ogrodach na przedmieściu, gdzieśmy mieszkali, i potem, dalej ku miastu, na plantach, były całe pokryte szronem. Ten szron był na dachach, na parkanach, na drutach telegraficznych. Wszędzie. Więc spytałem Kasi, co to jest szron. Ale ona nie zrozumiała wcale i powtórzyła: Jakto, co to jest szron?... Przestałem się pytać. Ona i tak nie zrozumie. Po południu powie mi to mama. Albo może spróbuję spytać Bolka. On wie napewno.

Przez całe rano już mi nikt nie powie nic. Ani słowa. O Ukrainie i o Sycylji. O papieżu i o rozbiorach. O tem, jak winogrona rosną w Badenji i jak się jeździ trójką po stepie. O Mozarcie i o dziadku Aleksandrze czy Karolu, którzy zginęli w powstaniu. I o herbie Ślepowron... (Quel dommage que ton père n'etait pas gentilhomme!...). Niema Ukrainy, niema palm na Sycylji. Ani królowej Jadwigi. Ani rzezi galicyjskiej. Niema babci.

Jest tylko szron na całych plantach i na rynku. Na wąsach policjanta, na końskich nozdrzach, na latarni... Wszędzie. I gdzieś w tym szronie czy mgle strażak na trąbce gra z niewidzialnej wieży. Jest biało i niebieskawo... Co to jest szron?...

Gdy wracaliśmy przez planty, zaświeciło nagle słońce we mgle i na gałęzi ośnieżonego kasztana siedziała sowa. Nieruchoma, patrząca ślepemi oczami w złote słońce i w niebieski dzień. Nad nią, wysoko w konarach zbierały się wrony i kawki. Oszalałe ze złości, wściekłe. Cała chmura czarnych ptaków.

Nadole znowuż, pod drzewem była cała gromada chłopców, którzy zmarzniętemi rękami wygrzebywali z pod śniegu kamienie. Było ich może dziesięciu, albo więcej. A sowa była jedna tylko i ślepa. Przez chwilę żaden nie mógł trafić, ale wreszcie któryś wycelował. Sowa zatrzepotała skrzydłami i strącając śnieg po drodze, osunęła się o jedną gałąź niżej. I patrzyła się dalej nie widząc nic.

Wrony znowuż zaczęły wirować i posypały się kamienie.

Więc chwyciłem Kasię mocno za rękę, mówiąc: Chodźmy, Chodźmy!...

ZŁOTA KOTWICA

Nie kosztują nic. Ani centa. I można je mieć zawsze, na każde zawołanie. Byle tylko nie nachlapać. Ale, jeśli się podłoży kawałek starej gazety, to umierają na papierze i wszystko jest w porządku. Kiedy w mieszkaniu całem niema nikogo, słychać wyraźnie, jak pękają. Płaczą króciutko a tak cicho, jak ten kulawy chłopczyk od stróżki. Gdy tylko usta otworzy, matka zamierza się na niego czemkolwiek i — zanim jeszcze uderzy — dziecko milknie, robi się małe, takie, że go prawie nie widać...

Tak samo z bańką. Choćby nie wiedzieć jak była duża, zostaje z niej tylko mała kropla na papierze. I ta kropelka jest bez koloru, zupełnie jak woda. Szara. I już po bańce! Koniec!

Trzeba więc zrobić nową. To trwa najwyżej kilka sekund i czasem trafi się jeszcze większa, bardziej kolorowa, niż ta, co pękła przed chwilą... A jednak — nie wiem dlaczego — żal mi zawsze tamtej. Właśnie tej pierwszej, po której została tylko mokra plama na papierze. Nawet mnie to złości, że ta nowa jest większa i ładniejsza. Gdy więc oderwie się od słomki, popędzam ją mocno i gwałtownie, aby zgasła zaraz w powietrzu. Naumyślnie!.. Potem wydmuchuję trzecią, a znowu żal mi tej drugiej.

Czasem trafiają się bańki dziwne. Inne jakieś, złączone po dwie albo nawet po trzy naraz... Takie żyją jeszcze krócej. Zresztą wolę zwyczajne, pojedyńcze, byleby tylko były duże, jak największe. Jeżeli się uda taka ogromna, nie wolno nikogo wołać i pokazywać, bo zaraz pęknie. Wystarczy powiedzieć: Janek, patrz, jaka ładna! — aby już było po niej. Widocznie one nie lubią tego, jak się na nie patrzy więcej ludzi. Może się wstydzą? Kto wie?

Kiedy jeszcze była babcia, przykładała zawsze palec do ust i kazała mi siedzieć cichutko. Patrzyliśmy się oboje, tęczowa kula szła dogóry. Wielka, może nawet z każdą chwilą większa i świecąca wszystkimi kolorami... Kręciła się powoli, powoli, wznosząc się ku sufitowi, aż wreszcie natrafiała na coś po drodze. Rozbijała się na tak drobne kawałki, że nawet kropli po niej znaleźć nie było można. A babcia mówiła wtedy: Widzisz, to tak zawsze bywa, jeżeli... I nie kończyła, urywając na tem „jeżeli"...

Szkło robi się tak samo ustami, ale to ma być robota ciężka i nieprzyjemna. Pewnie z powodu okropnego gorąca. Robotnicy pracują nawet bez koszuli. Czasem któryś z nich wyjdzie na chwilę tak, jak stał przed fabrykę, aby wypocząć i zaziębia się. Nic nie uważają na siebie. Najbardziej kolorowe szkła są gdzieś we Włoszech, w Murano, ale tam jest bardzo gorąco. U nas co innego.

Mama powiedziała mi kiedyś, abym spróbował przeciąć diamentem taką bańką mydlaną i rozprasować ją gorącem żelazkiem a będziemy mieć dużo pieniędzy... Wiem, że to żart, a zresztą skąd wezmę ten diament?... Podług Bolka znowuż to wstyd, abym się jeszcze bawił bańkami. Ale sam robi to także. I mówi, że jego bańki są najpiękniejsze i że mnie nigdy w życiu nie uda się taka, jaka jemu przychodzi bez najmniejszej trudności... To nieprawda. Gada, żeby mnie tylko zirytować. Jak zawsze.

Teraz ciągle straszy mnie szkołą. Że już za kilka miesięcy zobaczę, co to takiego ta szkoła. I że się tam odrazu wezmą do mnie... O ile zdam egzamin do trzeciej klasy, o czem on mocno wątpi. Zobaczymy!... Pierwszą dawno zrobiłem w domu, a do drugiej także uczy mnie mama wieczorami, gdy wróci ze swoich lekcyj. Bolek słucha, jak odpowiadam i mówi, że to żadna nauka i że wszystko pokaże się przy egzaminie. Już od dobrych kilku dni znowu przestaliśmy rozmawiać ze sobą.

Myślę często o szkole, a nawet raz śniło mi się, że siedzę na ławcę z jakimiś chłopcami i nauczyciel patrzy się na mnie dziwnym wzrokiem... Bardzo nieprzyjemny sen! Zresztą i tak zacznie sią to niezadługo. Jeszcze kilka miesięcy, potem wakacje, no, i szkoła. Nie wiem, dlaczego, ale odpędzam te myśli od siebie.

Czasem zabieram ze sobą miseczkę z mydłem, słomki i idę do kuchni. Ale tylko wtedy, gdy Bolek tego nie widzi. On ma słuszność. Nie powinienem wysiadywać w kuchni. Tylko, że teraz przychodzi taka dziwna praczka. Mała, siwa, i garbata. Ręce ma pokręcone, z samych tylko żył. A ubrana jest tak, że Kasia śmieje się z niej pocichu. W jakieś jedwabne bluzki. Czerwone zielone, żółte... Ona te bluzki dostaje od swej córki, bardzo ładnej panny, która jest statystką w teatrze. Praczka chce, aby Kasia mówiła do niej „pani".

Często opowiada o swoich dzieciach. Więc o tej córce, której się jakoś nie udało. Miała wyjść zamąż, ale ten pan, malarz, gdzieś wyjechał nagle, a dziecko chowa się u babki. Właśnie u tej praczki. Córka miała być aktorką i ludzie mówili, że ona ma wielki talent. Tylko, że inne znowuż narobiły jakichś okropnych intryg. Przez zazdrość. Wszystko przez zazdrość, że miała większy talent niż one. Więc się nie powiodło tej Mani i teraz statystuje tylko od czasu do czasu. Nie wiem, co to znaczy „statystuje", ale to musi być coś bardzo ciężkiego. Może właśnie jak robota tego szkła kolorowego... W każdym razie praczka, mówiąc o tem, płakała nad balją, nic się nie wstydząc ani przed Kasią ani przede mną. Przestała prać, zamyśliła się nad czemś i stała się jeszcze mniejsza i bardziej garbata. Potem zdjęła z blachy olbrzymi garnek z dymiącą bielizną, postawiła na podłodze i siadła do obiadu. Skurczyła się cała w sobie, tak, że już tylko garb sterczał z czerwonej jedwabnej bluzki, ubranej koronkami.

Trzymając łyżkę w opuszczonej ręce, mówiła do Kasi, że w domu u niej pełno jest tych jedwabnych i aksamitnych „łachów", które ona musi donaszać. Ma jeszcze drugą córkę, nauczycielkę, która nie chce znać tej pierwszej. Mieszka osobno i matki na ulicy nigdy nie poznaje. Spytałem dlaczego, ale praczka nie odpowiedziała mi nic. Siedziała nieruchomo na skrzynce od węgli. I nie jadła wcale. Patrzyła w podłogę, a łzy kapały jej na talerz.

I jeszcze ma syna, który pije. Widziałem go raz. Przyszedł do matki i bardzo się kłócili na schodach.

Gdy słucham tych historyj, bańki nie udają mi się wcale. Albo pryskają zaraz przy samej słomce, albo urywają się całkiem jeszcze małe i gasną w powietrzu tuż przy samej ziemi. Są jakby cięższe. A kapią tak samo, jak łzy tej garbatej praczki... Czasem znowuż zasłucham się tak, że nie uważam i wtedy dostaje mi się do ust mydło. Gorzkie, wstrętne.

Potem przy obiedzie nie chciałem nic jeść, bo mi został na wargach obrzydliwy smak mydła... Ale przyznałem się przed mamą, że byłem w kuchni i że słuchałem tych opowiadań praczki. Bolek już chciał krzyczeć na mnie, poco ja tam wysiaduję, ale mama przerwała mu, mówiąc, że to bardzo biedna kobieta ta praczka. I że z jej dzieci właściwie najlepsza dla niej jest przecież ta statystka. A ta druga córka i syn bardzo niedobrzy.

(D. c n.)

JUBILEUSZOWE TARGI POZNAŃSKIE

W r. b. impreza głośnych, nietylko w Polsce, ale w całym świecie Targów Poznańskich obchodzi 10-lecie swego istnienia, gdyż pierwszy raz zorganizowano je w r. 1921 i od tej pory odbywają się one corocznie w ciągu tygodnia przy końcu kwietnia. Nie można za przerwanie Targów uważać zaniechania ich w r. 1929, kiedy na terenie targowym urządzono pierwszą wszechpolską wystawę, a więc również imprezę o charakterze przemysłowo-handlowym.

Pierwsze Targi, zorganizowane z inicjatywy Związku Towarzystw Kupieckich w Poznaniu odbyły się za prezydentury ś. p. Jarogniewa Drwęskiego, pierwszego Polaka kierującego gospodarką miasta Poznania. Były one początkowo ograniczone do wystawienia przedmiotów przemysłu i handlu krajowego i dopiero w r. 1925 uchwalono rozszerzyć je na zagranicę, czyli uczynić dotychczasowe krajowe — międzynarodowemi targami. Ze strony rządu, inicjatywa poznańska uzyskała całkowitą aprobatę i zezwolenie oficjalne, które z biegiem czasu skrystalizowało się w r. 1928 w postanowieniu Min. Przemysłu i Handlu, obejmującem kilka wytycznych punktów, mających służyć za podstawę corocznego urządzania Targów. Stosownie do tego zezwolenia, rzeczone ministerstwo musi być powiadamiane o każdej zmianie w organizacji i składzie zarządu, — musi przynajmniej na 9 miesięcy przed otwarciem mieć przedstawiony termin, czas trwania, regulamin i szczegółowy program Targów, — sprawozdanie z nich ma być również przedkładane tym samym władzom, i t. d.

Tym sposobem, Międzynarodowe Targi Poznańskie, aczkolwiek pozostają przedsiębiorstwem miasta Poznania, podlegają kontroli rządu, co daje im oparcie dyplomatyczne w dziedzinie międzynarodowych pertraktacyj, jako „foire officiellement reconnue". Dla podkreślenia tej suwerenności państwowej, uroczystościom otwarcia Targów przewodniczyli zawsze najwyżsi dostojnicy, jako to: ministrowie, a w r. 1924, nawet sam pan Prezydent Rzeczypospolitej.

W r. 1927 związek europejski międzynarodowych targów, przyjął do swego grona w charakterze członka zwyczajnego Targi Poznańskie, co było jednym z dalszych etapów na drodze zbliżenia tej imprezy z ogólnoeuropejską akcją handlową i przemysłową.

Jako organ naczelny ze strony miasta, funkcjonuje deputacja, której przewodniczył początkowo ś. p. prezydent Drwęski, — po śmierci jego w. prezydent dr. Mikołaj Kiedacz, od r. 1922 aż do dziś dnia, prezydent Cyryl Ratajski. Poza tem decernentami Targów byli ze strony magistratu pp. radcowie: Podolka, Władysław Kultys, a od 1922 r. do 1930, p. Stanisław Robiński. Obecnie specjalnego decernenta nie wybrano i funkcje jego należą do prez. Ratajskiego. Bezpośredni zarząd Targów stanowili od początku ich istnienia dyrektor p. Mieczysław Krzyżankiewicz, oraz dwaj zastępcy, pp.: generał Józef Szamota i Jan Szumański. Międzynarodowe Targi Poznańskie pod względem formalno-prawnym istnieją, jako impreza miejska z wyodrębnionym budżetem. Funkcjonują zaś na zasadzie specjalnego regulaminu.



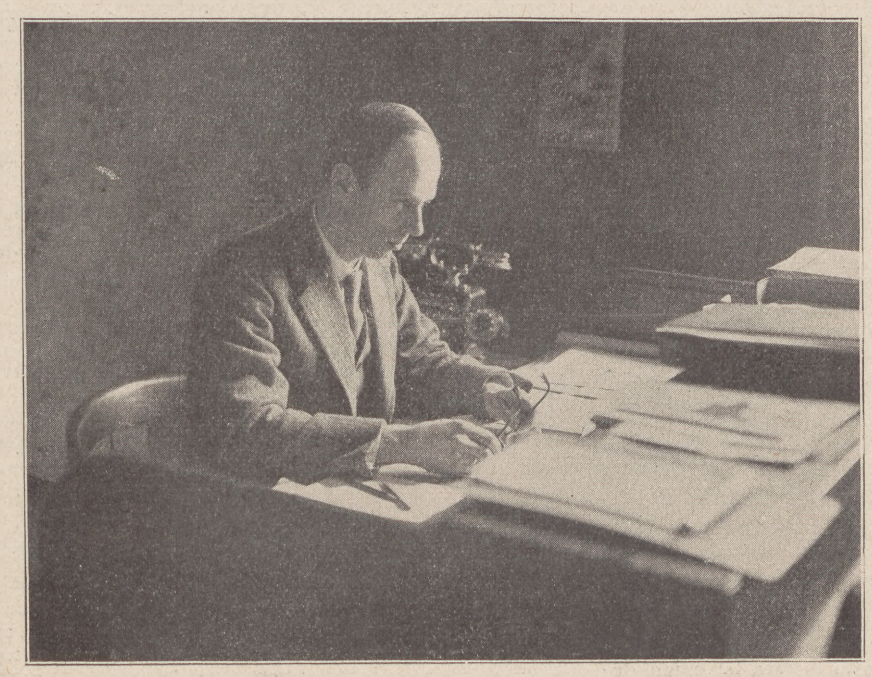
Biura Targów Międzynarodowych w Poznaniu

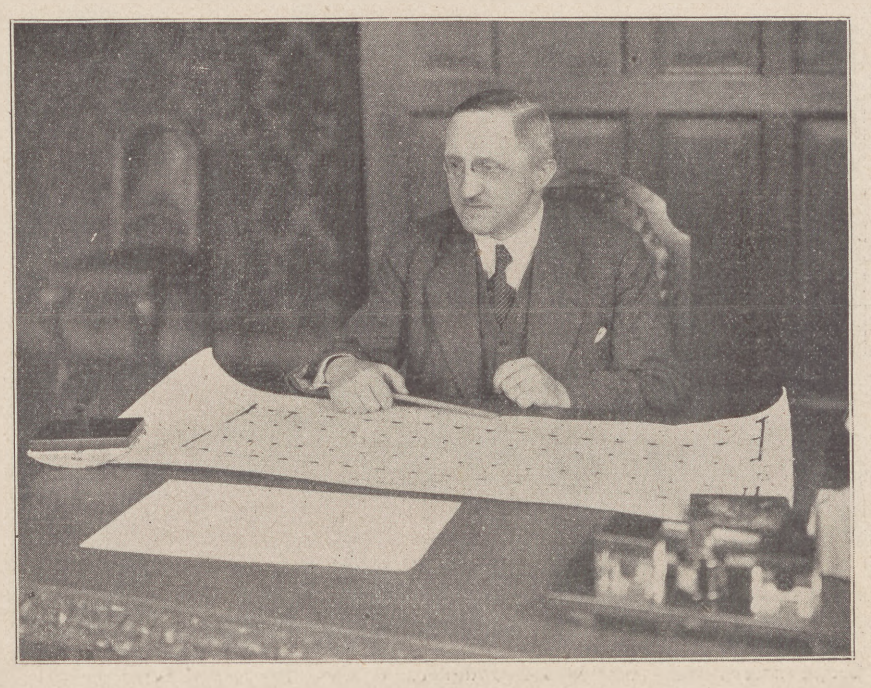
Rozwój Targów naogół był w ciągu ubiegłej dekady bardzo wydatny. Jako teren, obrano dla nich miejsce, na którem w r. 1911 odbyła się wystawa prowincjonalna, przy t. zw. „Wieży Górnośląskiej", — budynku nad wyraz szpetnym, który nazwę swą otrzymał z racji pomieszczenia w nim eksponatów przemysłu z Górnego Śląska w czasie owej wystawy. W następstwie, owa budowla została oddana wodociągom miejskim, i do dziś dnia spełnia funkcje wieży ciśnień. Obok tej wieży, Bank Przemysłowców i Polski Bank Handlowy pobudował dwa duże po 1.000 kw. mtr. powierzchni każdy, pawilony murowane stałe, a miasto wzniosło prowizoryczną szopę o powierzchni 2.000 mtr. kw. Poza tem znany przemysłowiec gnieźnieński, p. B. Kasprowicz, wzniósł własnym sumptem niewielki dom przy wejściu na tereny targowe, dla pomieszczenia administracji. Tak skromne były początki Targów i imponującego dziś terenu targowego.

Pierwsze cztery Targi odbywały się na dwóch terenach, mianowicie: przy Wieży Górnośląskiej i w barakach dawniejszych wojskowych, na placu Prez. Drwęskiego, przedstawiających ogółem powierzchni 13.000 mtr. kw. Stopniowo jednak zaczyna się rozbudowywać główny teren targowy i, począwszy od r. 1924, wciąż przybywają nowe, kapitalne budynki, które ostatecznie, po wzniesieniu największej ich ilości na wystawę w roku 1929, zamieniły teren targowy w całkiem specjalne jakby miasteczko, o pierwszorzędnym wyglądzie tak samo pod względem umiejętnego rozplanowania budowli, jak ich architektury, utrzymania ulic, placów, etc. Przedewszystkiem miasto odkupiło od wspomnianych wyżej banków dwa ich pawilony. W r. 1924 wybudowano t. zw. „halę maszyn". Piąte Targi posiadały ponadto „Pałac Targowy", wzniesiony według projektu i planów inż. d-ra Cybichowskiego. Gmach ten, o powierzchni 8.160 mtr. kw., pozwolił na skupienie Targów na jednem miejscu, i od tej pory baraki wojskowe zostały porzucone. Zkolei zbudowano wielki dom administracyjny przylegający do ul. Focha, gdzie mieści się, obok biur targowych, muzeum miejskie i restauracja. Jednocześnie zniesiono dawny domek u wejścia na tereny.

Przygotowania do wystawy na r. 1929, spowodowały dalszą rozbudowę, wskutek czego powstała t. zw. „Hala centralna" o 7.200 mtr. kw. powierzchni, wzniesiona według projektu inż. Rogera Sławskiego, — i wystawiono efektowne obeliski-latarnie, zdobiące wjazd główny, — zbudowano halę przemysłu ciężkiego, rozszerzono kilkakrotnie dawną „halę maszyn" i dziś teren targowy przedstawia imponujący widok 7 wielkich budowli, poprzedzielanych wyasfaltowanemi ulicami, gazonami, placami.

O ile pierwsze Targi w r. 1921 miały poniekąd charakter wystawy, gdyż nawet orkiestra przygrywała zwiedzającym, o tyle wszystkie dalsze starano się jak najzupełniej pozbawić cech atrakcyjnych i traktowano jedynie, jako teren porozumiewania się producentów z kupcami, wskutek czego zbędnemi byli nawet kon-





Dyrektorzy Targów Międzynarodowych w Poznaniu Stefan Ropp (z lewej) i konsul Finlandji, Mieczysław Krzyżankiewicz (z prawej)

sumenci detaliczni. Podniesiono dość wysoko cenę wejścia, nie obniżając, lecz przeciwnie, podnosząc ją na dni świąteczne, nie dawano ulg młodzieży, — utrudniano przystęp dzieciom, — słowem starano się konsekwentnie usuwać wszystkie niehandlowe elementy, jako przeszkadzające i tamujące bieg i rozwój jedynego zadania: zbliżania producentów z kupiectwem, czego następstwem bezpośredniem były tranzakcje zawierane, bądź to w czasie Targów, bądź na skutek wzajemnego zapoznania się w Poznaniu, — w dalszym rozwoju stosunków handlowych pomiędzy wytwórczością a handlem. Z tej więc przyczyny, mierzenie doniosłości imprezy, czy to liczbą „gości", zwiedzających Targi, czy to ilością doraźnie zawartych umów nie było słuszne i nie pozwalało wyprowadzać właściwych wniosków. W każdym razie stały rozwój Targów pozwalał mniemać, że sfery gospodarcze uważają je za czynnik ważny, skoro firmy, które raz eksponaty swe nadesłały, w znacznej liczbie wypadków brały udział i w następnych Targach.

Ciekawych uwag udzielił piszącemu te słowa dyrektor Targów, p. Stefan Ropp, profesor W. S. H. w Poznaniu.

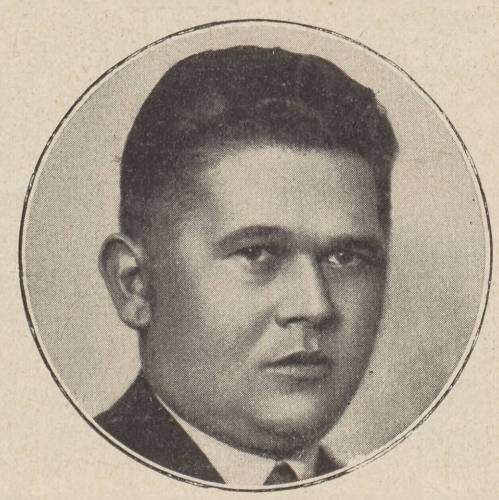
— Dziesięciolecie naszej imprezy chcemy obchodzić nie jak uroczystość jakąś jubileuszową, ale jako sposobność dokładnego spojrzenia w przeszłość w zestawieniu z obecnemi warunkami, jako zorjentowanie się na przyszłość. Np. stało się pewne, że stara koncepcja „targowa" upada całkowicie. Zresztą z licznych imprez podobnych powstałych po wojnie w szeregu państw zagranicznych, 8 zlikwidowano. Inne żyją, ale dlaczego? Na ostatnim kongresie międzynarodowego związku targowego, odbytym w Poznaniu w r. 1930, stwierdzono, że Targi rozwijają się, gdy są przedmiotem wzajemnej wymiany, a więc skoordynowania podaży i popytu, a nie kiedy służą tylko jednej z tych składowych stron handlu. Przy odpowiedniem zrealizowaniu tej tezy, Targi stają się czynnikiem koordynacji międzynarodowej wymiany, nie szkodząc jednocześnie wytwórczości i handlowi krajowemu. Dzięki pracy Państwowego Instytutu Eksportowego, pozostającego pod sprężystem kierownictwem naczelnego dyrektora, p. Marjana Turskiego, — za pośrednictwem izb przemysłowo-handlowych mieszanych i krajowych, Targi zebrały bardzo obfity i dokładny materjał, dotyczący wymiany międzynarodowej. Pozwoliło nam to więc zwracać się teraz nie do wszystkich firm zagranicznych z propozycją udziału, ale do tych, które uzupełniają produkcję krajową.

— Ogólny kryzys gospodarczy niewątpliwie ujemnie wpłynie na tegoroczne Targi?

— Oczywiście. Ale z drugiej strony, kryzys ten uwypukla to, co jest treścią Targów: co było sztuczne, lub zbędne — zanika, a pozostaje to, co jest naturalne. Oblicze Targów kryzysowych jest najlepszą analizą gospodarczej struktury danego kraju.

— Patrząc na współczesne warunki komunikacyjne, na niesłychanie szybką, natychmiastową możność sprowadzania z dalekich nawet stron potrzebnych przedmiotów, a jednocześnie na tę olbrzymią propagandę zapomocą cenników, podróżnych, etc., spotykamy się często z zarzutem, że dzisiaj Targi tracą swą wartość.

— Dla przedmiotów drobnych i takich, które można pokazywać w próbkach, zapewne. Ale nie wszystko da się obwozić po całym świecie, jak np., przedmioty przemysłu ciężkiego. Nie wszystko zapomocą katalogów można bez słownego objaśnienia i okazania przedmiotu dokładnie zrozumieć. W tej więc dziedzinie, targi, zbierając jednocześnie licznych wytwórców i kupców dokoła przedmiotów, stanowiących zwłaszcza nowości, czy to pod względem gatunków, czy ulepszeń, wynalazków, etc., pozwalają się wzajemnie zapoznawać i z danym



Jan Szymański,
wicedyrektor Targów poznańskich

przedmiotem i z warunkami jego wytwarzania, sprzedaży, i t. d. Takie zestawienie najważniejszych czynników wymiany stwarza współzawodnictwo i ustala naturalne ceny towarów, stając się czemś w rodzaju giełdy towarowej.

— Gdy początkowe Targi krajowe zamieniano na międzynarodowe, budziły się głosy obawy, czy nie stanie się to szkodliwą konkurencją dla naszego przemysłu?

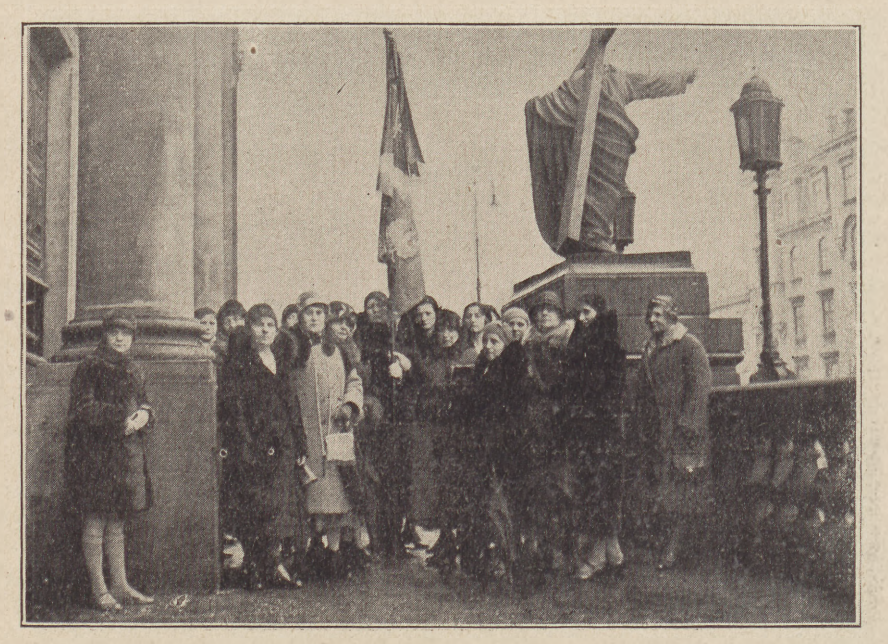
— Odwrotnie. Pokaz obcych modeli, mających popyt, pobudza naszą wytwórczość do naśladowania, a więc rozwija ją i nie pozwala na zasklepianie się w przestarzałych formach. Zresztą, na straży naszego przemysłu stoją cła ochronne i inne ograniczenia, przez władze stosowane.

— Jaki udział biorą w r. b. Niemcy?

— Stosunkowo niewielki. Niemcy, którzy dotychczas zawsze stali na 1-em miejscu, obecnie stanowią 22% ogółu zagr. wystawców i tego roku znaleźli się poza Austrją i Czechosłowacją. Poza tem udział biorą: Estonja, Łotwa, Węgry, Szwajcarja, Szwecja, Belgja, Francja, Włochy i Stany Zjednoczone Am. Półn. Cechą charakterystyczną tegorocznych Targów jest zamawianie o wiele większych powierzchni przez poszczególne firmy, co dowodzi, że słabsze organizmy upadają — silniejsze pozostają zwycięsko.

W. D.

JUBILEUSZ ZAWODOWEJ ORGANIZACJI KOBIECEJ



Grupa uczestniczek uroczystości jubileuszowych Związku zaw. kobiet pracujących w handlu i biurowości

Dnia 12 b. m. warszawski Związek zawodowy kobiet polskich, pracujących w handlu i biurowości, obchodził jubileusz 25-lecia swego istnienia. Z tej okazji odbyło się nabożeństwo w kościele św. Krzyża a wieczorem w lokalu własnym (Chmielna 10), przybranym bogato zielenią — uroczyste zebranie, w którem wzięli udział przedstawiciele ministerstwa przemysłu i handlu, ministerstwa pracy i opieki społecznej, prezydenta m. st. Warszawy, oraz liczni delegaci związków i stowarzyszeń zaprzyjaźnionych. Gości podejmował zarząd związku z p. Michaliną Tarnowską na czele. Wygłoszono szereg przemówień i odczytano depesze gratulacyjne, wśród nich życzenia p. ministra d-ra Hubickiego oraz licznych stowarzyszeń z całego kraju. Wieczór zakończyła część koncertowa (śpiew, fortepian, deklamacja, orkiestra). *H. S.*

ZAGRANICĄ

Min. Strassburger zostaje

W artykule „Oczy na Gdańsk" nawołuje „Gazeta Warszawska" (Nr. 120) do zwiększenia czujności i przypomina słowa Fryderyka Wielkiego: „kto posiędzie ujście Wisły i Gdańsk, ten będzie większym panem Polski niż król, który w niej panuje". Apeluje też autor artykułu słusznie do Ligi Narodów, której przedstawiciel rezyduje w Gdańsku.

„O nasze prawa — pisze gazeta — w Gdańsku walczymy nietyle z gdańszczanami, ile z agenturami niemieckiej polityki odwetowej, która na terenie wolnego miasta zbudowała sobie potężną bazę. Bazę tę musimy zniszczyć!

Zbyt długo tolerował rząd polski zachowanie się pewnych żywiołów w Gdańsku, teroryzujących nietylko Polaków, lecz i spokojnych mieszkańców tego miasta. Podanie się do dymisji p. ministra Strassburgera jest dosadnym protestem przeciwko dotychczasowemu stanowi rzeczy. Powinno się ono stać punktem wyjścia do przeprowadzenia energicznej akcji na terenie Ligi Narodów, będącej zgodnie z Traktatem Wersalskim „protektorką" Gdańska. Czynniki kierownicze zaś w Lidze zdają chyba sobie sprawę z tego, że Polska ani napaści na swych obywateli, ani też zniewag różnego rodzaju tolerować już dłużej nie może i że w razie bezczynności powołanych do tego czynników musiałaby sama zastosować środki odpowiednie, ażeby interesy swoje i swoją godność ochronić. A to tem bardziej, że ostatnia inicjatywa austrjacko-niemiecka grozi poważnemi zmianami w obecnym układzie stosunków na wschodzie Europy".

Dymisja min. Strassburgera nie została przyjęta. Świadczy to, że rząd dostarczy mu środków niezbędnych dla ochrony polskiego stanu posiadania. Świadczyłby o tem jeszcze komentarz ogłoszony w „Gazecie Polskiej" (Nr. 106) i godzący niedwuznacznie w osobę wysokiego komisarza Ligi Narodów, markiza Gravinę:

„Tę decyzję rządu Rzplitej, powziętą po rozważeniu sytuacji i omówieniu jej z wysokim komisarzem Ligi Narodów, markizem Graviną — rozumiemy w ten sposób, *że rząd ma podstawy do oczekiwania ze strony Ligi Narodów odpowiednich kroków w stosunku do władz w. m. Gdańska* w najbliższym okresie czasu, do majowej sesji Rady Ligi włącznie.

Istotnie bowiem polityka władz gdańskich — w szczególności znane wypadki ostatnie — które słusznie uznał p. Strassburger za uniemożliwiające mu pełnienie swych funkcyj — *narusza też w sposób jaskrawy autorytet wysokiego komisarza Ligi Narodów. Przypuszczać wolno, że nie będzie to pozostawione bez wyciągnięcia konsekwencji ze strony tej ostatniej".*

Ano trudno. Jeżeli nie można inaczej, to nawet za tak wysoką cenę trzeba uspokoić chore na hitleryzm umysły gdańskie. Wówczas uda się rozważniejszym a wpływowym osobistościom tego państwa opanować elementy, operujące nożem, i wytworzyć atmosferę, w której zabójców można wyśledzić a wyśledzonych karać — nie zaś zwalniać.

Tymczasowa organizacja Republiki Hiszpańskiej

Rząd rewolucyjny Hiszpanji ogłosił dekret, mocą którego ustala prowizoryczny statut republiki. Zawiera on wszystkie wytyczne, jakiemi rządzić się zamierza Hiszpanja, uzależnia jednak zatwierdzenie ich od decyzji konstytuanty. Oto niektóre z tych artykułów w brzmieniu dosłownem lub streszczeniu:

„Z uwagi na demokratyczne pochodzenie swojej władzy i w zgodzie z zasadą odpowiedzialności, jaką powinny się kierować organy państwa, rząd przedstawi swoją działalność zbiorową i indywidualną Kortezom - Konstytuancie (najwyższemu organowi woli narodowej), gdy tylko nastąpi chwila przekazania im władzy. Poddane zostaną rewizji wszystkie akty rządów poprzednich, dokonane w okresie, kiedy parlament był rozwiązany".

„Rząd tymczasowy oświadcza publicznie, że będzie szanować całkowicie indywidualną wolność sumienia oraz wolność religijną. Rząd zrzeka się możności domagania się dla państwa deklaracji obywateli co do ich przekonań religijnych".

„Rząd tymczasowy uznaje jako zasadę nowoczesnego dogmatyzmu jurydycznego, osobowość syndykalną i korporacyjną i uważa ją za podstawę nowego prawa społecznego".

Rząd gwarantuje prawo własności. Oceniając zaś krzywdę, jaka się dzieje masom rolniczym, przyjmuje jako zasadę swojej działalności, że prawo agrarne powinno mieć swoją wagę w łączności ze społecznem znaczeniem ziemi.

„Rząd prowizoryczny, w zgodzie z zasadami, które usprawiedliwiają pełnię jego władzy oświadcza, że stałby się winnym prawdziwego przestępstwa, gdyby oddał Republikę na pastwę wichrzycieli, mogących naruszyć jej konsolidację". W konsekwencji rząd zastrzega sobie prawo ograniczenia w koniecznych wypadkach praw wolnościowych, z czego jednak w czasie właściwym zda sprawę przed konstytuantą.

Śmierć kapitana Galana

Deklaracja nowego rządu hiszpańskiego przynosi między innemi zapowiedź zbadania wypadków grudniowych w Jaca i rewizji procesu, który zakończył się dwoma wyrokami śmierci. Skazani zostali na rozstrzelania kapitanowie Garcia Hernandez i Fermin Galan, jako przywódcy rewolty wojskowej. Galan był duszą spisku, ale entuzjasta i zapalczywiec, przedwcześnie rozpoczął grę, zanim cały ruch udało się uzgodnić i uzależnić od rozkazu z Madrytu. Udaremnienie spisku zdecydowało o odroczeniu wielkiej rewolty wojskowej, pociągnęło ponadto za sobą wielką ilość aresztowań.

Henri Beraud w swojej interesującej książce *Emeutes en Espagne* (Les Editions de France) odtworzył na podstawie opowiadań świadków śmierć obu oficerów. Umierali po żołniersku, świadomi spełnionej ofiary, romantyczni młodością własną i nowej Hiszpanji. Opowiada więc Beraud:

„Pluton egzekucyjny i tłum oczekiwali przed prochownią Fornillos, wpobliżu Huesca. Na krótko przed wyruszeniem, podczas gdy eskorta kończyła przygotowania, trzej inni oficerowie skazani na dożywotnią katorgę i na degradację, uzyskali pozwolenie na pożeganie tych, którzy szli na śmierć. Z trudem hamowali wzruszenie.

— Pocieszcie się przyjaciele — powiedział im Galan. Nie płaczcie nad nami. Żołnierz umie umrzeć młodo. Dla was, których los oszczędził, zaświtają lepsze dni. Sprawy w naszej ojczyźnie ulegną zmianie. Zwrócą wam wasz honor i wasze szarże. Nie zapominajcie o mnie wówczas. Odwiedzicie moją matkę w Madrycie i powiecie jej, że jej syn, swobodnie i bez trwogi poszedł na śmierć, aby ocalić tych, którzy mu zaufali...

Kamjony ruszyły w drogę do Fornillos. Wstrzymała je błotnista przestrzeń gościńca, trzeba było część drogi odbyć pieszo. Skazańcy szli, przystając i paląc papierosy.

Galan, znalazłszy się w środku czworoboku odsunął łagodnie księdza, który chciał asystować przy śmierci i prosił, by mu wolno było ucałować oficera, który czekał z podniesioną szablą. Następnie ofiarował żołnierzom swoje papierosy i pieniądze.

— Celujcie dobrze, koledzy — powiedział.

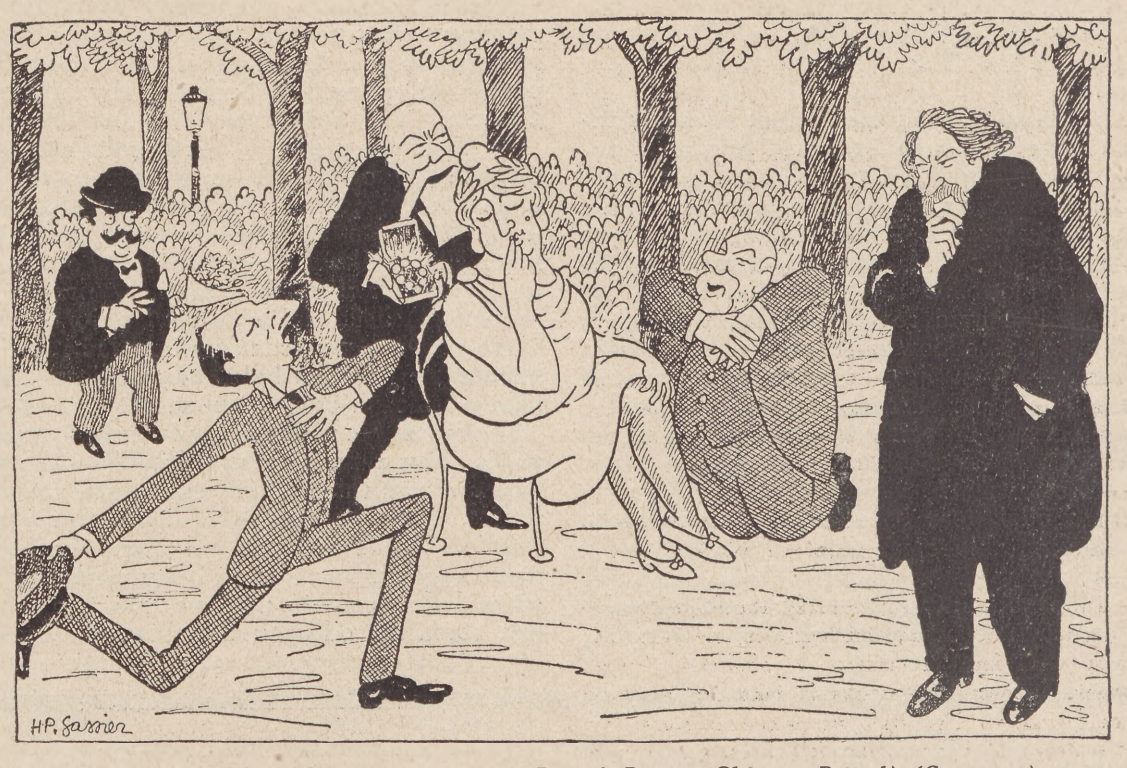
Słychać płacz. Galan poszedł oprzeć się o słup — z głową podniesioną wysoko.

— Nie pochylajcie głów. Patrzcie prosto na waszego dowódcę.

— *Fueggo!* — krzyknął oficer, opuszczając szablę.

Garcia Hernandez upadł sztywno, pierwszy. Fermin Galan zgiął się i rozciągnął na ziemi, jakgdyby zasypiał. Miał lat trzydzieści jeden. A cały majątek, który rozdzielił między żołnierzy plutonu, wynosił 7 peset i trzydzieści centimów".

Przed wyborami prezydenta we Francji



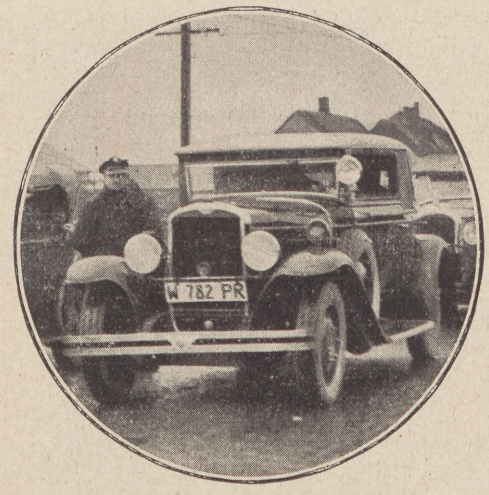
Wiosenne zaloty kandydatów (Painlevé, Berard, Doumer Chéron i Briand) (Cyrano)

SAMOCHODY I MOTOCYKLE „C. W. S." W SPALE

Raid samochodowo-motocyklowy z Warszawy do Spały i zpowrotem (zorganizowany przez Polski Touring Klub) stanowił próbę regularności jazdy. Dla samochodów przepisana chyżość przeciętna wynosiła 45 km na godzinę, dla motocykli — 40 km/g. Na trasie, wynoszącej razem 200 km, ustawiono szereg punktów kontrolnych: jeden jawny w Spale i 4 tajne. Przytem regulamin wymagał utrzymania przeciętnej na poszczególnych odcinkach trasy (między punktami kontrolnemi, nie zaś tylko między Warszawą a Spałą). Skutkiem tego każdy, choćby najdrobniejszy, defekt w maszynie trudny był do wyrównania. Znaczniejsze przyśpieszenie tempa groziło nieregularnością jazdy, a więc punktami karnemi. Trzeba było doskonałego wyliczenia czasu przez kierowcę, aby wypełnić przepisy raidowe.

Trasa była łatwa. Ale stan szos pozostawiał wiele do życzenia. Tegoroczna zima poczyniła znaczne spustoszenia. Powstały wzdęcia, zagłębienia, jakieś niezwykłe na szosach „koleiny".

Nic dziwnego, że wobec takich warunków terenowych, resory jęczały na wszystkie tony. Niejeden — nie wytrzymał, powodując wycofanie się z raidu zawodnika. A przecież jazda do Spały nie powinna być próbą... podwozia. Nie jest to odmiana angielskiego



Kabrjolet C. W. S. na starcie

Lands End Toral, gdzie *umyślnie* włącza się do trasy odcinki bardzo ciężkie, a więc drogi górzyste, kamieniste, przeprawy przez potoki lub bajora i t. p. próby.

Na uwagę szczególną zasługuje fakt, iż w raidzie startowały samochody i motocykle krajowej produkcji „C. W. S.", zdając celująco egzamin ze swej sprawności.

W kategorji samochodów *złote plakiety* (nagroda za ukończenie raidu z punktami dodatniemi) uzyskali pp. Marczewski i Panczakiewicz na zgrabnych, smukłych „C. W. S." (kabrjolet i torpedo). Poza tem nadspodziewany sukces w postaci *złotej plakiety* odniosła 2-u tonnowa ciężarówka „Ursusa" (z pełnem obciążeniem), kierowana przez p. Ligejkę. Na 17 startujących motocykli tylko 6 ukończyło raid bez punktów karnych; w tej liczbie dwa motocykle „C. W. S." z przyczepkami, prowadzone przez pp. Czarneckiego i Tomaszewskiego, zdobyły *złote plakiety*.

Sukces ten świadczy korzystnie o naszej produkcji samochodowo-motocyklowej. To też dążeniem naszem winno być hasło: polski samochód na polskich drogach.



Samochód C. W. S. przed pałacem w Spale

Fot. J. Ryś



Motocykle C. W. S. na starcie

JULJUSZ WIRSKI 2)

PŁOT

Nie czekał już od niedzielnej wizyty żadnych objawień o zagnanej duszy ludzkiej. Miasto prowincjonalne odsłoniło przed nim okrucieństwo swego nawykowego przymusu. Ale podczas wizyty — niespodzianka. Zbliżyła się do niego z całą swobodą damy i rozpoczęła rozmowę. O imieninowej zabawie, ani słowa. Nie było również pytań, wyjaśnień, drażniącego sondowania „opinji". Oświadczyła: — pan jest czarujący. Mimowoli uśmiechnęły się surowe usta mężczyzny:

— Zabrała mi pani pierwszeństwo komplementu.

— Zostawmy te głupstwa. Nie o komplement chodzi, lecz o to, że pan z wielkiego miasta, a taki romantyk.

— ?...

— No tak. Patrzę przecież na tego swojego samca. (Pogardliwy ruch głowy w stronę starosty). Widzę ich wszystkich od lat dziesięciu. Bo i to się panu przyda: — mam lat dwadzieścia ośm... I nauczyłam się poznawać mężczyzn. Pan nie ma nic z tego typu, który reprezentują ci tu wszyscy. Jest pan, jak pątnik, który opuścił Sodomę, aby odnaleźć Gomorę.

— Ciekawe ujęcie, — spojrzał jej poraz pierwszy w oczy z otwartą szczerością — obawiam się jednak, że pani mnie przecenia. Oblał go rumieniec wstydu, na przypomnienie ataku pożądania, którego doznał zaraz po pierwszem poznaniu. W przystępie szczerości chciał jej o tem w najoględniejszych słowach powiedzieć, ucałować i odejść. Przeczyste przecież były oczy kobiety dziecka i nie można było im kłamać.

— Proszę się nie bawić w frazesy — przerwała. Ten rumieniec, mój Boże! — nie widziałam rumieniącego się mężczyzny od czasu, jak żyję w tem mieście, to znaczy od urodzenia. A nie jest pan chłopcem. To ładna rzecz — rumieniec, w pańskim wieku, a jeszcze ładniejsza, że pan nie odróżnia odruchu serca od odruchu zmysłów. — Zacięła wargi zmieszana i szukająca gorączkowo słowa.

— Chce pani powiedzieć, że mieszam uczucie głębokie, które budzi pragnienie z samem pragnieniem bez uczucia i że się za to potępiam, — pośpieszył — z pomocą, zdumiony do głębi jej niezwykłą intuicją. Od kilku chwil pragnął znowu tej kobiety, aż do skowytu ust i serca. A jednocześnie czuł, że jednem słowem rzuciłaby go sobie do stóp na zawsze. Przetarł czoło ruchem bezradnym i wyrażającym zdumienie. Obok przeszedł starosta, rzucił znudzone spojrzenie żonie i nieobowiązujący frazes gościowi. Jan mówił gorączkowo:

— Bo przecież to zadziwiające. Widzi mnie pani drugi raz. Jestem już bezbronny. Istotnie czegoś czekałem od tego miasta. Ale nie była to kobieta. Raczej zwykły, prosty, prawdziwy człowiek. A teraz mam wrażenie, że jednak pani jest uprawomocnieniem tej sennej zjawy, jaką jest to miasto. Pani je urzeczywistnia. W Warszawie rozeszłyby się te myśli i ta pani czystość, rozmieniłaby pani na drobne. Tu ocalał skarb jednolity, — prawda o czystej duszy. Może nawet...

— Proszę, — zachęciła wytwornym i dobrym uśmiechem.

— Może nawet prawda o ofierze...

— Ach, więc tak pan to pojął. No, nic dziwnego. Wy tam zaraz robicie z rzeczy zwykłych tragedje. A to przecież najzwyklejsza higjena duszy.

— Sędzia miał rację, — pomyślał Jan. — Cofnął się o pół kroku i patrzał z ciekawą natarczywością. Nie kłamała. Dla niej czystość w życiu była higjeną duszy. Chciał nieśmiało i oględnie zaznaczyć, że higjena duszy nie ma nic wspólnego z bagnem we własnym domu. Druzgocząca siła tego argumentu nie nadawała się jednak w danej chwili. To, co o niej wiedział, było prawdą z drugiej ręki, ona sama nie upoważniła go do dyskusji.

— Będziemy przyjaciółmi, — powiedziała zgaszona nagle, jakby wyczuła jego myśl,— bardzo mi potrzeba kogoś prawego. Niech pan moje oświadczenie traktuje, jak pełnomocnictwo — dodała, podając drobną, wypieszczoną rękę. Odeszła płynnie ku grupie znajomych pań, posyłając mu jeszcze życzliwe skinienie głowy. Panowie w dalszych pokojach zasiadali do kart. W karty nie grał. Zakręcił się wśród gości, zamienił kilka zdań i złapawszy w przejściu gospodarza pożegnał, prosząc o ucałowanie rąk pani.

Był zbyt dojrzałym, aby nie pojąć, że atmosfera spokoju, monotonji i pewnego wyczerpania to niedostateczne atuty do zainteresowania się młodą kobietą. Ona sama, niezależnie od swojej delikatnej urody, była wystarczającą przyczyną. Szybko zdecydował: — jeżeli jest taką, jak ją widzę — będzie moją. Wiedział, że posiada warunki, aby się podobać, teraz jednak odczuwał lęk na myśl, że to zamało, aby rozkochać w sobie kobietę, która brzemię stadowego przesądu dobrowolnie wzięła na drobne, a przecież silne ramiona.

III

Długie marsze po krętych uliczkach miasta. Lipy, kasztany i akacje, wychylające się z poza zmurszałych płotów. Lekka czerwień liści. Biel płytkich ścieków i wegetatywny wyraz twarzy mieszkańców. Spadziste dachy zielone, lub czerwone, niekiedy czarne. W tem wszystkiem zmienne niebo. Chmury, obłoki, błękit i znowu chmury. Niekiedy cynowa szara ciężkość.

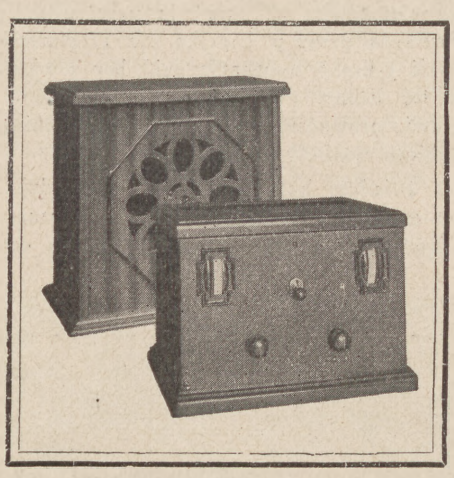
Z całego tego świata, ze wszystkich jego zakamarków i powierzchni płynęła, wsączała się tęsknota. Była jak tysiące cieniutkich nitek, wysnuwanych ze świata zewnętrznego i nawijanych na purpurowe wrzeciono serca. Dalikatnie, nieustannie, uparcie podnosiła się do gardła — spazm duszy.

Stanisław Gruszczyński
słynny tenor opery warszawskiej, oświadcza:

„Nie wierzy się poprostu własnym uszom, gdy słyszy się za pośrednictwem radja Marconiego operę czy koncert odbywające się setki mil od Warszawy. Każdy dźwięk, każda intonacja bez najmniejszego zniekształcenia — ma się wrażenie, że się jest wśród audytorjum".

Czy może być lepsze świadectwo stwierdzające czystość audycji?





ODBIORNIK 4 LS 2/A

4 — lampowy odbiornik Marconiego do sieci oświetleniowej lub akumulatora i baterji v połączeniu ze znakomitym 4 — biegunowym głośnikiem „Marconivox S. II", najnowszej budowy, zapewnia przepiękny odbiór wielu stacyj europejskich.

Aparat jest niezmiernie prosty w obsłudze, zewnętrzny zaś jego wygląd stanowi ozdobę najbardziej wytwornego mieszkania. Cena typu elektrycznego zł. 960. — z lampami. Cena modelu do akumulatora i baterji zł. 580. — z lampami. Wystarczy mały zadatek, aby otrzymać ten wspaniały prezent. — — — — Do nabycia we wszystkich większych firmach radjotechnicznych.

MARCONI

WARSZAWA, Marszałkowska 142 ŁÓDŹ, Piotrkowska 84 LWÓW, Akademicka 14

Podczas jednej z wędrówek spotkał panią Renę. W złocistej gazie słońca szła prosta, lekka, pachnąca. Ukłon. Sama zatrzymała go promiennym głosem:

— Proszę mnie odprowadzić, jeśli łaska.

— Ależ najchętniej — uważnie słuchał obojętnych słów o sprawach nieokreślonych. Sycił go jej głos, jak samo słońce. Zrzadka dawał odpowiedź na jakieś bezpośrednie pytanie. Wreszcie bez żadnego wstępu:

— Pani Reno, jaka pani jest?

— Zdziwiła się nieco, ale nie zmieszała, jakby potrosze przygotowana na podobne pytanie. Zaczęła mówić cicho:

— Córka lekarza. Wykształcenie średnie. Całe życie tu w miasteczku, — zwykłe dzieciństwo córki zamożnych mieszczan. Przyjaciółki, lektura, ogródek, spacery. Łagodne nauki matki, surowe prawdy ojca-liberała. Książki, dużo książek...

— Ibsen?

— Tak, Ibsen! — ucieszyła się szczerze.— Ale niech pan słucha: dużo książek — Ibsen, France, Rolland, Wells, Shaw, Zweig, Wasserman. Wszystko polskie, oczywista także, w międzyczasie bale, majówki, kuligi. Podobno byłam ładna. Zjawił się starosta; — bardzo piękny, niezmiernie charmant! Ogromnie „subtelny". Ktoś tam ostrzegał, — kancelista Brodek, że starosta erotoman. Kancelista kochał się w niej, — nie uwierzono. Bardzo prędko ślub. I w pół roku po ślubie pierwsza zdrada, opłakana obfitemi łzami... Kilka miesięcy chorowała... Później weszło to w rozkład życia, — te zdrady... No i przyzwyczaiła się, uciszyła...

Zduszonym głosem powtórzył pytanie:

— Ale jaka pani jest?

Zamyśliła się nie na żarty.

— Stawia mnie pan w trudnem położeniu. Musiałabym na nowo rozważać, rozdzierać, analizować... Dziś — sama nie wiem.

— Nie wie pani?!

— Proszę mi wierzyć... Staram się być dobrą dla ludzi. Czego chcę dla siebie — nie wiem. Czasami pragnę ludzi dobrych i mądrych koło siebie. Żeby poprostu byli, żebym mogła mówić do nich.

— I to wszystko?

— Czy wolno mi więcej? — w tonie pytania zabrzmiała skarga okpionego przez życie dziecka.

— Ależ wolno, ależ tak! — wybuchnął, gotów jej wyznać wszystko.

— Delikatnie przemilczała wybuch, pragnąc uniemożliwić wyznanie, które przeczuwała. Szli w zakłopotaniu obok siebie szeroką aleją parku. Minąwszy park stanęli przed domem starosty.

— Przejdę się jeszcze z panem. Zdenerwowana jestem.

Tą samą drogą wracali w porozumieniu i rozdarciu. Kiedy minęli śródmieście Jan skręcił w kierunku ulicy klasztornej. Niewielkie półkole zarosłych trawą i pleśnią kamieni. Szczerbaty chodnik po jednej stronie, przegniły wygięty płot po drugiej. Za płotem świeży, pachnący zielskiem i ziemią, sad. Wziął ją nieomal nabożnie za rękę. Przystanęli:

— Widzi pani, — mówił przerywanym głosem, — co za smutek nieużytecznej rzeczy. Wilgotny ciężar przesądu. Zmurszały ciężar fałszu. Ten płot... Stoi tu nad pleśnią wilgotnych kamieni, odgradza od soczystej zieleni sadu. Ten płot... Nikt go nie ruszy, nikt nie pchnie, nikt nie powali! Utarło się, ustało, że już tak, że już na zawsze. Kiedyś zapewne sam runie, siłą własnego bezwładu.

Milczała uparcie, jak pokojowe zwierzątko, które zwietrzyło niebezpieczeństwo.

Powtórzył głośno, teraz już w formie pytania:

— Nikt go nie ruszy? — nikt nie pchnie?— nikt nie powali?

Odwróciła głowę i dwie łzy stoczyły się po ślicznej twarzy.

— Pani Reno, na miłosierdzie boże, niechże mi pani odpowie!

Odpowiedziała pytaniem:

— Bardzo pan kocha?

— Tak.

— Więc jeżeli to prawda, jeżeli to jest możliwe, jeżeli przeczucie nie zawiodło mnie i pan jest naprawdę „rycerz z tamtej strony", jeśli ta obłąkana tęsknota, która mnie do pana popycha jest prawdą serca — niech pan wyjedzie!

— I zapomni... — dodał z goryczą.

— Niech pan wyjedzie i pamięta. Pan słusznie powiedział, że ten płot to zgniły ciężar przesądu. Ale nietylko przesąd stoi między nami. Proszę nie pytać, proszę zrozumieć. Ja także kocham pana. Pokochałam odrazu, śmiało. Ale proszę pomyśleć: — mam męża, który odemnie odchodzi do każdej kobiety, choćby chwilowo pożądanej. Pytał pan jaka jestem. Nie mogłam odpowiedzieć, bo to drzemało za progiem świadomości. Pan to wydobył na jaw. Więc jestem przepełniona lękiem i wstrętem do pewnych spraw... Niech pan sam stara się zrozumieć! Dlatego chcę być tylko kochaną, dlatego chcę pamiętać, rozważać, ale nie przeżywać!

Stał, zaskoczony namiętną potęgą głosu i tragizmem odsłoniętej prawdy. Paznogciem zdzierał pleśń z przegniłych desek. Szukał kontr-argumentu. Była chwila, że za najlepszy uważał upaść jej do nóg i ucałować końce trzewików. Czuł, że nie oparłaby się takiemu wybuchowi rozpaczy i miłości, ale obawiał się, że mogłaby potem pożałować swej słabości, wobec jego bezsiły. Ona zaś podniosła na niego zalaną łzami twarz:

— Pan myśli, że mi nie żal? Tak żal, że powiedzenie „serce pęka" to zamało. Pana mi żal i — siebie. Ale cóż poradzę? Pan chce, żebym została jego żoną, pan jeszcze wierzy w małżeństwo. Bo to pan chyba chciał powiedzieć, mówiąc o powaleniu zmurszałego płotu przesądów, prawda?

— Tak.

— A ja nie wierzę w małżeństwo. Wierzę w miłość, ale nie w małżeństwo. Mówiono mi, że małżeństwo to — sakrament. Nieprawda! Sakrament to — miłość, to ludzkie, kochające serce! Tylko, widzi pan, ja się tu chowałam, tu rosłam duszą, tu dojrzewałam sercem i rozumem. I nie mam sił, rozumie pan? — sił, żeby pójść z panem i tylko kochać. Musiałabym się chyba drugi raz urodzić i nie tu, nie tu!... Ten płot, ach, ten płot! To nietylko religja, kanony, sakramenty! To także gadzinowe śliny ludzi, ta także wola i złe prawo społeczne. Czemże byłaby religja nie poparta przez „moralność" społeczną? Czem? Podpórką bez oparcia.

— Reno, przecież to psychoza! — schylił się do jej rąk i wgryzł się w nie pocałunkami. Suche łkania darły mu piersi.

— Tak, to choroba, idjosynkrazja. Czuję nieprzeparty wstręt do tego, co nazywa się małżeństwem. Dlatego postanowiłam trwać w tem swojem bagnie. A wolna miłość? W wężowych sykach ludzi, w płomieniach nienawiści, szyderstwa, pogardy? Na to mnie nie stać. Na to trzeba być już nietylko kochającą kobietą, ale żołnierzem. A ja tylko kocham...

Umilkła wyczerpana. Prawą ręką, drobną i delikatną gładziła jego obie ręce, splecione bezradnie i modlitewnie. Jan pojął, że przegrał szczęście, to jedyne szczęście w życiu, które raz tylko się staje. Odwrócił oczy i cicho się pożegnał. Kiedy znikła za zakrętem uliczki podniósł głowę i długo patrzał w złocistą smugę kochania.

KONIEC

WIECZÓR RECYTACYJ H. SZATKOWSKIEGO

W dn. 28 kwietnia w starej Pomarańczarni w Łazienkach Henryk Szatkowski daje swój drugi wieczór poezji. Wobec niezwykłego sukcesu, jaki uzyskał artysta na swym pierwszym w tym sezonie recitalu — zainteresowanie jest ogromne. W programie obok poezji klasycznej widnieją ballady. Recytowane przy klawikordzie wypadają doskonale, zwłaszcza na tle tradycyjnego teatru Stanisława Augusta, który za wyjątkiem kaloryferów i szatni pozostał bez zmian, zawsze świetny i nastrojowy. Będzie to jeden z najciekawszych wieczorów tego sezonu.



BÓL GŁOWY

niezawodnie i szybko usuwają

TABLETKI

OD BÓLU GŁOWY

dla dorosłych

Mag. A. BUKOWSKIEGO

Pudełeczko 20 tabletek Zł. 1.30

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Br. M. Miazg., W-wa. — Słabiuchne to, zdradzające początkującego autora.

Mar. Recz., W-wa. — „Wyścig o szczęście" należy do mało rozwiniętego u nas rodzaju literatury, opartej na motywach sportowych. Nowelę zatrzymujemy w tece.

ZABURZENIA w TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" (z kogutkiem). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE - GŁÓWNY SKŁAD. APTEKA A. GĄSECKIEGO, w WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

Spółka Akcyjna do Eksploatacji Państwowego Monopolu Zapałczanego w Polsce

POLECA

zapałki książeczkowe, impregnowane „Liliputy", oraz czerw. impregn. form. 3/4.

Bronzy artystyczne, nagrody sportowe, zastawy biurkowe, figury, żyrandole i lampy w dużym wyborze, poleca

MAGAZYN FABRYCZNY WYROBÓW BRONZOWYCH

BRACIA ŁOPIEŃSCY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 15, telefon 621-90.

oryginalny dobry tani !!!

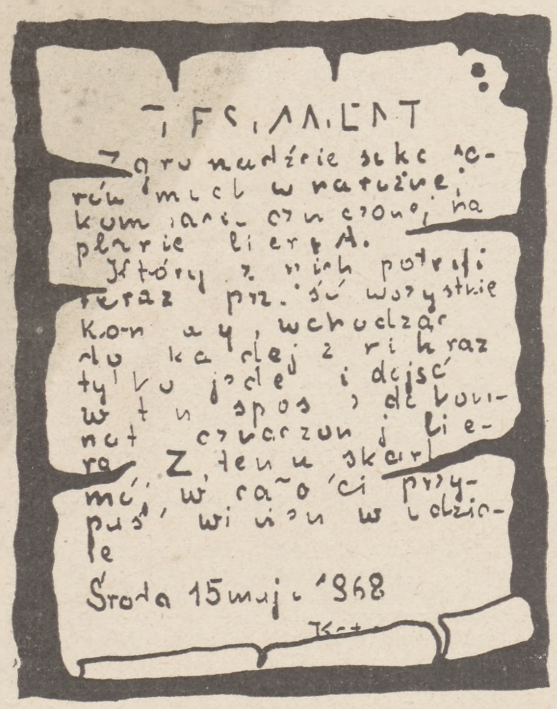
COGNAC MARTEAU

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

dział rozrywkowy

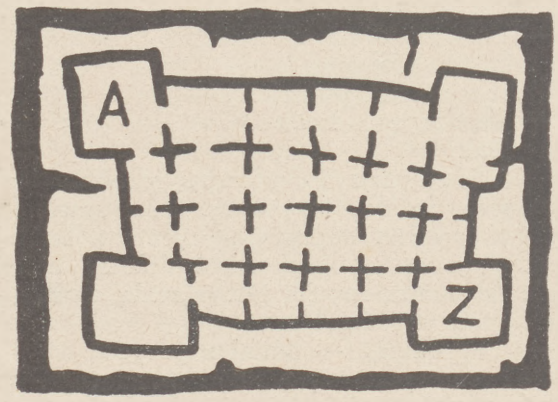
POD KIEROWNICTWEM M. CHOYNOWSKIEGO

109. TESTAMENT DZIWAKA



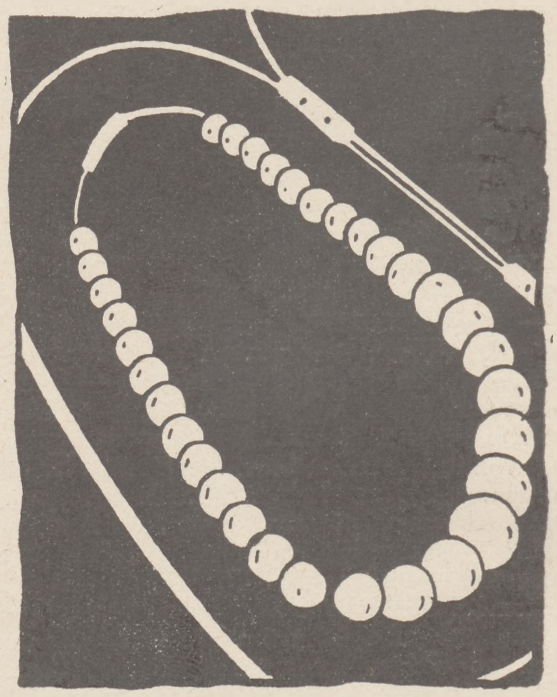
Przy restauracji jednego ze starych zamków kresowych znaleziono w skrytce ściennej szkatułkę klejnotów i biżuterji wraz z dołączonym do niej testamentem z przed lat kilkudziesięciu. Dokument jednak uległ wielkiemu zniszczeniu, atrament spłowiał tak, że odczytać pismo było niezmiernie trudno i powiodło się to dopiero po zastosowaniu najnowszych metod naukowych. Sądzimy jednak, że czytelnikom naszym uda się go odcyfrować z łatwością nawet i bez pomocy nauki.

110. SUKCES PANA PĘTELKI



Okazało się, że pan Pętelka, spokrewniony blisko z rodziną kresowych magnatów, jest jednym ze spadkobierców tajemniczego skarbu. Nadszedł oczekiwany z upragnieniem dzień i oto z pośród kilkudziesięciu pretendentów jednemu tylko panu Pętelce, obdarzonemu niezwykłą bystrością umysłu, udało się dotrzeć do wskazanej komnaty zgodnie z warunkami dziwacznego testamentu. W jaki sposób — proponujemy odgadnąć czytelnikom.

111. PAN PĘTELKA MILJONEREM



W tak szczęśliwie odziedziczonym skarbie najcenniejszym objektem była wspaniała kolja z 33 pereł, której wartość obliczył pan Pętelka na przeszło trzy miljony złotych. Największa perła była na środku, a pozostałe ułożone były tak, że zaczynając od jednego końca każda perła następna była o 5000 zł. droższa od poprzedniej — aż do największej. Zaczynając zaś z drugiego końca wartość pereł wzrastała każdorazowo o 7500 zł., również aż do najpiękniejszej. Ogólną wartość naszyjnika obliczył pan Pętelka na 3.250.000 zł. — na ile ocenił największą perłę?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja przeznacza do rozlosowania następujące nagrody:

Zad. 109. *Kobiety w pociągu* Jima Pokera.

Zad. 110. *Dzień jego powrotu* Z. Nałkowskiej.

Zad. 111. *Stare miasto* Or-Ota.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie trzytygodniowym pod adresem: *Redakcja „Tygodnika Illustrowanego", Warszawa, Zgoda 12. Dział rozrywkowy.* Każdy rozwiązujący winien podać swe imię i nazwisko oraz dokładny adres.

(Dalszy ciąg Działu Rozrywkowego obok na okładce)

MONTECATINI-TERMO

Najwięcej znane źródła wodolecznicze Italji. Godzina drogi od Florencji.

Miasto-Ogród w Toskanji z ciepłym źródłem Sprudel, położone wśród rozległych parków i historycznych gmachów. Rozbudowa pod względem architektonicznym i dekoracyjnym rozpoczęta w r. 1920 przy współudziale najwybitniejszych sił artystycznych Italji jest obecnie zakończona i podniosła Montecatini do rzędu najpiękniejszych

Uzdrowisk Europejskich.

Skutki kuracji wodoleczniczej nie mają sobie równych w przypadkach cierpień: wątroby, żołądka, kiszek i przemiany materji, jak również przy otyłości.

SEZON TRWA OD 1 KWIETNIA DO 30 LISTOPADA.

200 HOTELI I PENSJONATÓW.

LA PAGE GRAND HOTEL

Pierwszorzędny Zakład położony wśród własnego parku. Dyrektor Gener. L. MILENO.

BELLA VISTA & PALACE

W sąsiedztwie Kurhausu. Duży własny ogród. Całkowity pensjonat 45—60 lirów. Właściciel C. NUTI.

HOTEL CROCE DI MALTA

Pierwszego rzędu, obok Kurhausu. Całkowity pensjonat 40—60 lirów.

HEMOROIDY!

CZOPKI HEMOROIDALNE GĄSECKIEGO

„VARICOL"

(z KOGUTKIEM)

USUWAJĄ BÓL, KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI).



HEMOROIDY ZEWNĘTRZNE

(GUZY ZEWNĘTRZNE) NALEŻY LECZYĆ MAŚCIĄ Z PRZEPISU **POPOWSKIEGO**

SPRZEDAJĄ APTEKI

Pamiętajcie o Flocie Narodowej!



OSTRZEŻENIE! Chcąc nabyć proszki naszego wyrobu, należy przy kupnie **akcentować** i wyraźnie żądać **oryginalnych** proszków z **„Kogutkiem"** Gąseckiego, znanych od lat trzydziestu. Zwracajcie uwagę i odrzucajcie **uporczywie polecane** naładowanych w ludzaco podobnem do naszego opakowaniu. Najlepiej żądać proszków **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w naszem **oryginalnem** opakowaniu po 5 sztuk w pudełeczku. Cena 75 gr. **Osoby, dla których przyjęcie proszka sprawia pewną trudność, mogą przyjmować proszek „KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w formie tabletki. (2 tabletki odpowiadają jednemu proszkowi). Opakowanie po 20 tabletek 1 zł. 50 gr. Żądać tabletek **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN" w oryginalnem opakowaniu GĄSECKIEGO.**



CHOROBY PŁUC

Stosowany przez p. p. Doktorów **„Balsam Thiocolan'Age"** przy **grużlicy, bronchicie, kaszlu** ułatwia wydzielanie się plwocin; wzmacnia organizm i samopoczucie chorego, powiększa wagę ciała. **„Balsam Thiocolan'Age"** sprzedają apteki. Żądajcie tylko w oryginalnem opakowaniu A. GĄSECKIEGO.

Redaktor: Wacław Gebethner Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa. *Wydawcy: Gebethner i Wolff*

Dokończenie Działu Rozrywkowego ze str. 336

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z N-RU 9 »TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO«

86. PIWNICA PANA PĘTELKI

96 litrów wina i 20 litrów miodu.

87. NAJKRÓTSZE ZDANIE

Według swego nieprzeciętnego a wysoce oryginalnego sposobu rozumowania pan Pętelka ma rację o tyle, że z odpowiednio przestawionych liter zdania *Wietrzyli ci dziś te dery?* można ułożyć *trzydzieści dwie litery* — z naszego jednak stanowiska racji mu niestety przyznać nie możemy.

88. SZABLON Z OTWORAMI

Najprostsze rozwiązanie wskazuje rysunek.

Rozwiązania nadesłało ogółem 114 osób, których spis podajemy poniżej. Liczby w nawiasach oznaczają ilość rozwiązanych bezbłędnie zadań.

Biała Podlaska: Medwecka Marja (3), Medwecki Józef (3). *Białystok:* Jaroszowa Leokadja (2). *Bielsko:* Niziołek Józef (3). *Borsuki:* Pruszyńska Jadwiga (3). *Borysław:* Psarska Zofja (3). *Brześć n/Bugiem:* Jaczynowska Halina (3). *Brzeziny:* Massajada Jan (3). *Bydgoszcz:* Feltynowski Antoni (2).

Chełm Lubelski: Lechnicka Zofja (2). *Chrzanów:* inż. Tolkemit Karol (2). *Cieszyn:* Izworski Mieczysław (1).

Dobrzelin: Kwiekowa Jadwiga (2). *Drohobycz:* inż. Kasiński Bronisław (2). *Dziedzice:* Mrózek Franciszek (1). *Dzisna:* Mołczanow Michał (3).

Głębokie: Ginko Jan (1).

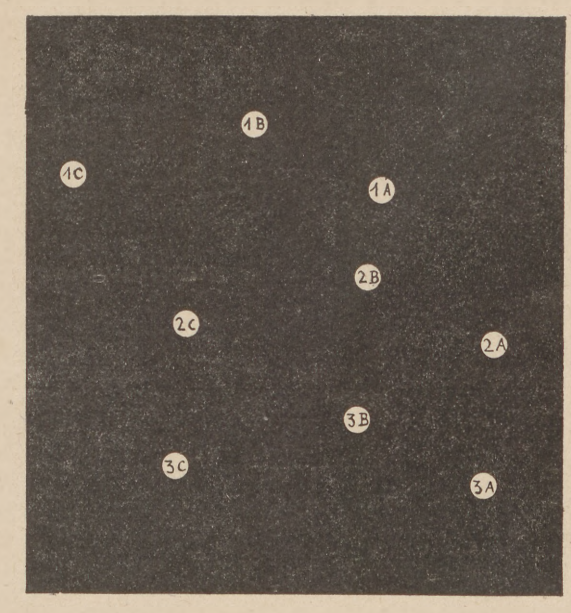
Hancewicze: dr. Michajłow Bazyli (3).

Jabłonna-Gucin: Broszkowski Stanisław (2). *Jadów:* Wiśniewska St. (1). *Janów Lubelski:* „Ewunia" (1).

Katowice: Krautler Henryk (2), Kuligowa Ada (2). *Kielce:* Bielecki Władysław (2). *Koło:* Jankowski Leon (3), Kozłowska Lubomira (1), Mrożewski Leonard (2). *Kraków:* Paszyński Lucjan (3), Racławicki St. (2).

Landwarów: Jaski R. (3). *Limanowa:* Chrapkiewicz M. J. (3), Mordawski Seweryn (3). *Lublin:* Polichowa Zofja (2), Wilanowicz Władysław (1). *Lwów:* Gnoińska Janina (2), inż. Korzeniewicz Jan (2), Szajner Roman (3).

Łęczyca: Chrobot Stanisław (0). *Łomża:* Dąbrowska Ewa (1). *Łowicz:* Bogatkowa Stanisława (2), „Marek" (3). *Łódź:* Badzianówna Apolonja (2), Menzel Józef (1), Millerówna Teodora (2), Stolarski Józef (3), Wojtaszek Władysław (2). *Łuck:* Peretiatkowicz Marja (1).



Marjówka: Bylicka J. (3). *Mielec:* prof. Kawa Władysław (3). *Modlin:* kpt. Jabłoński Mieczysław (3), Jarmulski Edmund (3), Jarmulski Saturnin (3).

Nowemiasto: Spanili Mieczysław (3).

Ołyka: Kotowicz-Eysymontowa Marja (2). *Opatów Kielecki:* Zuchmantowicz Marjan (3). *Ostrowiec Kielecki:* Makarewicz Henryk (2), Pauli Zofja (3). *Ostrowlany:* Jania Jan (2). *Ostrów:* Halotowa Zofja (2).

Poraj: Żuchowski Józef (1). *Poznań:* Adamanis Franciszek (2), Pol Gustaw (1). *Przecław:* Wojtaszek Zdzisław (3). *Przeworsk:* Skarzyński Józef (1). *Pułtusk:* Jaworski Stefan (2).

Rożyszcze: Sobieski Antoni (3).

Sambor: Maćkowski Jan (2). *Siedlce:* Sochacki Henryk (2). *Skierniewice:* Wysocki Wacław (1). *Sokolin:* Zamojska Zofja (2). *Stanisławów:* Chojecka Zofja (2). *Suwałki:* Bekielewski Franciszek (3).

Wadowice: Ryndak Jan (1). *Warszawa:* Arkuszewski Stanisław (2), Ber Wiktor (3), Birkholc Karol (2), Bochiński Jan (2), Bolesławski Edward (1), Borkowski Henryk (3), Chodkowska Zofja (3), Chojnacki Eugenjusz (2), Dietrichowa Stanisława (1), Dowgirdowa Alina (3), Gil Czesław (3), Górski Cezary (3), Jasiński Ziemowit (2), Kolbiński Stanisław (2), Kołodko Włodzimierz (3), Łebkowski Jerzy (3), Łebkowski Józef (3), Manterysówna Irena (2), Mieszkowska Anna (1), Nowicki Witold (3), Olszewski Eugenjusz (3), Ostaszewski Jan (3), Pałasińska Czesława (3), Polakowski Aleksander (1), Pretkielowa Stanisława (2), Szepke Edmund (3), Szymborski Stanisław (2), Tiezt Zygmunt (1), Tyblewski Jerzy (3), Tyblewski Roman (3), Wenda Janusz (2), Żak Romuald (1), Żerański Ludwik (3). *Wejherowo:* Rydz Leon (2). *Wilno:* Domański Bronisław (3), Hajkowicz Gustaw (2), Kawecki Aleksander (2), Tacitus Eli (3). *Włochy:* Mierkowski Leon (2). *Włocławek:* Wojtczak Teofil (2).

Zawiercie: inż. Kaźmierczak Stanisław (2).

Nagrody otrzymują następujące osoby:

Zad. 86. „Człowiek z klarnetem" W. Grubińskiego — *Leokadja Jaroszowa* z Białegostoku.

Zad. 87. „Chorągiew na dachu" J. Ostrowskiego — *Roman Szajner* ze Lwowa.

Zad 88. „Przysięga" St. Szpotańskiego — *Leon Rydz* z Wejherowa.

Nagrody wysyłamy pocztą w terminie trzytygodniowym.

STAN KONKURSU KWARTALNEGO

Po dwóch miesiącach układ pierwszych miejsc zmienił się gruntownie i przedstawia się jak następuje: 1/2 — *Wiktor Ber* i *Włodzimierz Kołodko* z Warszawy (po 27 zadań), 3/6 — *Alina Dowgirdowa, Eugenjusz Olszewski* z Warszawy, *Zofja Psarska* z Borysławia i *Eli Tacitus* z Wilna (po 26 zadań). Po 25 zadań rozwiązało przeszło dziesięć osób.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"

W WARSZAWIE:		POZA WARSZAWĄ (z przesyłką):		ZAGRANICĄ (z przesyłką):			
„Tygodnik Illustr." wraz z „Bibljoteką" oraz miesięcznikiem „Naokoło Świata" miesięcznie	9 zł. — gr.	miesięcznie	9 zł. 50 gr.	miesięcznie	11 zł. 50 gr.	półrocznie	65 zł. — gr.
Z odnoszeniem do domu	9 zł. 50 gr.	kwartalnie	27 zł. 50 gr.	kwartalnie	33 zł. — gr.	rocznie	128 zł. — gr.
		półrocznie	54 zł. — gr.	ZMIANA ADRESU			50 gr.
		rocznie	106 zł — gr.	KONTO POCZTOW. KASY OSZCZĘDN. Nr. 143			

TELEF. REDAKCJI: 604-14; ADMINISTR.: 722-14; EKSPEDYCJI: 704-32; DZ. OGŁOSZEŃ: 697-26. — RĘKOPISÓW NIEZAMÓWIONYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

AGENTURY „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO".

GDAŃSK, Polskie T-wo Księg. Kol. „Ruch", Kaszubski Rynek 21.
INOWROCŁAW, Księgarnia St. Knasta.
KATOWICE, L. Fiszer, Poprzeczna 2.
KRAKÓW, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Rynek 23 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Szczepańska 9.
LUBLIN, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Hotel Europejski.
LWÓW. S. Sokołowski i S-ka, Jagiellońska l. 7 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Kilińskiego 1.
ŁÓDŹ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 105; Biuro „Promień", Piotrkowska 81; Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2.
PARYŻ VI, Librairie Franco-polonaise, 123, Boulevard St. Germain, 123.
POZNAŃ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Ratajczaka 36; Fiszer i Majewski, Gwarna 19; „Par", Oddział miejski, ul. 27-go Grudnia 18 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", plac Wolności 3
PRZEMYŚL, Księgarnia A. Juszyński i F. A. Kuzia, Franciszkańska 15.
TORUŃ, A. Wojciechowski, Stary Rynek 4
WARSZAWA, kantor redakcji „Tygodnika Illustrowanego", Zgoda 12; Polskie T-wo Księg. Kolej. „Ruch", Al. Jerozolimska 63; biuro „Promień", Widok 19.
WARSZAWA — PRAGA, Księgarnia Z. Jeżewskiego, Targowa 67.
WILNO, Gebethner & Wolff i S-ka, ul. Mickiewicza 7; Polskie T-wo Księgarni Kolejowych „Ruch", Sp. Akc., Wileńska 14.
ZAKOPANE, Gebethner i Wolff, Krupówki.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE W KRAJU I ZAGRANICĄ I KSIĘGARNIE KOLEJOWE „RUCH".

OGŁOSZENIA DO „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO" PRZYJMUJĄ:

Ajencje reklamowe:

WARSZAWA: T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; Polska Ajencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; L. Metzl i S-ka, Jasna 17; Międzynarodowe Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 38; Bernard Buchweitz, Fredry 4; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Moniuszki 2; „Merkury", Królewska 49; KRAKÓW: „Par", Rynek 46; CIESZYN: Rudolf Pszczółka, Rynek; KATOWICE: „Par", Poprzeczna 8; LWÓW: „Par", Akademicka 14; POZNAŃ: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27-go Grudnna 18; WILNO: Biuro Jutana, Niemiecka 4; GDAŃSK: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Zagranicą:

WIEDEŃ: A. Exp. J. Dannenberg, Singerstrasse 2; A. Exp. M. Dukes Nachf, Wollzeile 16; KOPENHAGA: Ervin Wassey et Co., Montegarde 19; BERLIN: „Ala", A. G., Potsdamerstr. 27a; „I. H. A.", Potsdamerstr. 13; PARYŻ: Agence Jegù, Rue de Rome 27; PRAGA: R. Jirik, ul. Zatise 19; WROCŁAW: R. Landsberger, Königstrasse 2; BREMA: W. Scheller, Sögerstrasse 16

NIECH SIĘ PANI NICZEGO NIE OBAWIA!

gdyż pokój dziecinny Pani wyklejony jest obiciem „Salubra". Wystarczy szczotka, trochę wody i mydła, aby znikły ze ściany rysunki Jej synka i obicie odzyskało swój poprzedni wygląd. Prosimy zajrzeć do naszego magazynu, chętnie przedstawimy Pani bez zobowiązania do kupna bogatą kolekcję obić

Salubra & Tekko

niepłowiejących i dających się myć pod gwarancją



NAJWIĘKSZA I NAJSTARSZA W KRAJU FABRYKA OBIĆ PAPIEROWYCH

J. FRANASZEK SP. AKC.

Magazyny detaliczne: *Krakowskie-Przedmieście Nr. 15, tel. 601-72*
Aleje Jerozolimskie „ 33, „ 601-78 (od czerwca)
róg Marszałkowskiej

Obicia własne i zagraniczne w wielkim wyborze i po cenach dostępnych dla wszystkich

Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa Opłata pocztowa opłacona ryczałtem